Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 26 czerwca 1938 r. Nr. 26



Myślę o słońcu!

Już jest dobrze i cicho i serce nie boli...
Już pogodna twarz moja, roześmiane oczy,
Nie myślę już o tym, co poza mną kroczy
I o złym, co mnie czeka jeszcze w mojej doli...

Choć deszcz pada na dworze, ja myślę o słońcu,
Które jeszcze zaświeci złotymi promieniami,
Nie widzę już tych szarych, stąpających cieni...
Nie chcę, patrząc na kwiaty, myśleć o ich końcu.

Nie chcę, patrząc na dzieci, myśleć, że dorosną,
Ani myśleć o śmierci, słysząc dzwonów bicie...
Wolę ku światłu odwracać swe źrenice
I czekać... Nowego Jutra, które przyjdzie z wiosną.

Wolę to Nowe Jutro stroić w piękne kwiaty,
Tworząc barwny kobierzec dla mojej przyszłości,
I na nim będę szukać Dobra i Miłości,
Które oblekę w nowe, nieskalane szaty.

Krystyna Waligórska.

MARIA REUTT

11)

Anna

(Dokończenie.)

— Kłamiesz. Wiesz dobrze że to prawda. Rok cały śledziłem cię, ale ty byłaś sprytniejszą ode mnie. Zdobycie dowodów twego współudziału było trudną sprawą. Dopomógł mi do tego przypadek. Gdy dostawałem z szuflady zrabowane mi z Bielinek łyżeczki znalazłem rosyjskie wycinki i te naprowadziły mnie na rzeczywisty prawdziwy ślad, po którym doszedłem do źródła zbrodniczej agitacji.

Anna milczała kręcąc nerwowo brylantowy pierścionek zdarty ze skórą z palca nieszczęśliwej pani Zaleskiej przez nią samą przy przesłuchiwaniu jej w czerezwyczajce. I te brylantowe kolczyki które nosiła własnoręcznie wyrwała jej z uszu. Były całe zakrwawione. Kazała je obmyć i włożyła je sobie zaraz przy mdlejącej z bólu burżujce. Przypomniały jej się te sceny nie jako wyrzut, a duma. Nie uważała się za pokonaną, nie czuła strachu tylko złość i nienawiść do Leona, że ją pokonał.

Leon wyciągnął z kieszeni zegarek:

— Za 40 minut odchodzi pociąg do Rosji, za godzinę policja przyjdzie cię aresztować. Daję ci możność ucieczki. Napewno masz fałszywy paszport rosyjski, każdy z was ma, więc jedź tam, gdzie twoje miejsce, dokąd należysz przekonanniami i sercem. Wahała się. Na usta jej wypełzł zwycięski uśmiech. Zniecierpliwił się.

— Robię to nie dla ciebie, bo dla istot tobie podobnych nie mam litości. Czynię to dla tej staruszki matki twego męża. Nie chcę by ona wycierpiała to co moja matka wycierpiała, by przeszła przez ciebie przez tę samą gehennę. Dla niej to chcę ułatwić ci wyjazd, by zatuszować sprawę na tyle, żeby uczciwe imię twego męża nie zostało splamione, by nie poniewierano go na szpaltach gazet.



Z okazji trzechsetlecia wytwarzania szampana, Francja wydała specjalne znaczki pocztowe.



W Hamburgu odbył się korowód pod hasłem „Piękno i radość". Szczególną uwagę zwracał obraz przedstawiający symbol tańca.

Ze zmarszczonymi brwiami, posępnym ogniem w oczach, i zaciętymi ustami skierowała się Anna do sypialnego pokoju. Zastąpił jej drogę:

— Nie wolno ci wziąć ze sobą nic poza paszportem. Pamiętaj że czas uchodzi.

Skrzywiła ironicznie usta i zawróciła do biureczka. Stanął obok niej. Nacisnęła wystający brzezek spojenia w rogu. Z boku wysunęła się płytka szufladka. Leżał w niej paszport.

Leon uprzedził ją i wyjął szarą cienką książeczkę. Nie przeglądając podał ją Annie.

Z kieszeni wyjął 30 złotych.

— Na drogę.

Wzruszyła ramionami.

— Mam swoje — odpowiedziała.

— Spiesz się — przypomniał jej. — Oddaj mi tylko klucz od drzwi wejściowych.

I znów wzruszenie ramion i uśmiech ironiczny.

— Boisz się żebym nie wróciła?

Odpowiedział poważnie.

— Po tobie i tego się można spodziewać.

Zapięła palto, nakładała rękawiczki wolno, nie spiesząc się.

Leon czekał z ręką w kieszeni, w której znajdował się nabity i odbezpieczony rewolwer, tak na wszelki wypadek.

Schowała paszport do woreczka i nie obejrzawszy się za siebie wyszła do przedpokoju, a stamtąd na ulicę. Leon pogasił światła i wyszedł zamykając za sobą starannie drzwi.

Na drugiej poprzecznej ulicy był postój dorożek. Wsiadł do pierwszej z brzegu i kazał wieść się na dworzec. Przyjechał w chwili, gdy pociąg wjeżdżał na stację. Z okna bufetu 1-szej klasy śledził Annę. Widział jak przepychała się przez tłum, jak weszła do przedziału 1-szej klasy.

Mignęła mu jeszcze raz, gdy pociąg ruszył.

Odetchnął. — Żeby tylko szczęśliwie przejechała granicę. Wyobraził sobie jaki to ciężki cios byłby dla matki męża Anny gdyby ją aresztowali i sprawa poszła do sądu, przedostała się do gazet.

Zauważył pana Józka jak szedł ku wyjściu. Dogonił go na zakręcie koło placu sportowego.

— Co pan robi w tej okolicy — zagadnął go pan Józek witając się z nim.

— Wyszedłem panu na spotkanie.

Pan Józek zbladł. Zatrzymał się:

— Anna?..

— Tak, w jej sprawie. Żona pana tym pociągiem wyjechała do Rosji.

Zatoczył się.

— Moja żona... do Rosji. Dlaczego? Po co?

Drżał cały i zęby szczękały mu jak w febrze.

Leon położył mu rękę na ramieniu.

— Niech pan okaże się prawdziwym mężczyzną i sprawę tę zniesie po męsku. Żona pana była niebezpiecznym szpiegiem i działaczką, prowokatorką bolszewicką.

— Boże... Boże... to niemożliwe — jęczał.

— A jednak prawda. By uniknąć aresztowania wyjechała do swej ojczyzny. Ułatwiłem jej tę ucieczkę ze względu na pana i na jego matkę staruszkę. Chciałem jej oszczędzić tego ciosu...

Pan Józek dyszał ciężko. Szedł zataczając się jak pijany.

Otworzył drzwi. Ledwo weszli do przedpokoju, gdy jak spod ziemi wyrosło przed nimi kilku żandarmów. Ujrzawszy Leona zasalutowali. Znali go dobrze.

Oficer zwrócił się do pana Józka:

— Przykro mi bardzo, ale przyszliśmy aresztować żonę pana pod zarzutem szpiegostwa i działalności wywrotowej.

— Pan Józek otworzył usta, ale żaden głos nie wydobył mu się z gardła...

Wyręczył go Leon.

— Żona tego pana o godzinie jedenastej wyszła z wizyty u pani starościny i poszła w niewiadomym kierunku. Nie ma jej tutaj.

Oficer żachnął się. Skinął na żandarma.

— Plutonowy pójdzie na posterunek i zaalarmuje oficera dyżurnego, by z mego polecenia wszczął niezwłocznie pościg.

Leon obliczył w myśli:

Do granicy były tylko dwie stacje. Od jej wyjazdu upłynęła blisko godzina; jest już na stacji, lub dojeżdża.

Oficer zabrał się energicznie do rewizji. W biurku w bocznej szufladzie pod stosem papieru listowego znalazł tysiąc dolarów, sto pięćdziesiąt funtów angielskich i około dwóch marek niemieckich.

— Czy pan wiedział o istnieniu tych pieniędzy? — spytał pana Józka.

Potrząsnął przecząco głową:

— Nie. Żyliśmy tylko z mojej pensji, która ledwo wystarczała do końca miesiąca. Dziwiłem się zawsze jak Anna potrafiła przy tak skromnych dochodach wyglądać elegancko i modnie.

— — — — — — — —

W sieni odnaleźli schowek, a w nim parę paczek odezw komunistycznych, w jadalni w szufladzie kredensu cały zwitek wycinków poznaczonych i popodkreślanych.

Mała kasetka w sypialni w komodzie pod bielizną pełna była biżuterii, drogich kamieni i złotych rubli rosyjskich.

— — — — — — — —

Biła druga, gdy Leon zadzwonił do mieszkania starosty. Czekał długo nim zaspana służąca po długich pertraktacjach poprzez drzwi poszła obudzić swego pana.

Starosta owinąwszy się szczelnie szlafrokiem, ziewając i drżąc z zimna i senności przyjął go w gabinecie.

I tu w ciszy nocnej Leon zawiadomił go o tym, co się stało. Chciał uprzedzić meldunek oficera żandarmerii i policji, chciał go przygotować i sprawę jasno wyłożyć.

Zafrasował się bardzo pan starosta. Czekały go z tego powodu duże przykrości i kłopoty. Meldunek do województwa, dochodzenia sądowe, badanie, a najgorsza to przyjaźń Anny z jego żoną.



Dziewięć kobiet pracuje nad odświeżeniem gronostajowego płaszcza króla Jerzego IV.

— Niestety, zdążyła przejechać granicę!

— Dzięki Bogu że przejechała — odetchnął z ulgą Leon.

Zirytował się starosta.

— Pozwolili jej uciec! — Co robić z jej mężem? — pytał bezradnie Leona.

— Nic, dać mu urlop i postarać się o jaknajszybsze przeniesienie go do innego miasta. On nic nie winien, ma czyste sumienie i ręce...

— Śledząc ją, śledziłem jednocześnie i jego. Jest to bezwarunkowo uczciwy i porządny człowiek.

Starosta był szczerze zgnębiony i zmartwiony tą, sprawą.

— Tyle nieprzyjemności... tyle nieprzyjemności... powstarzał chodząc nerwowo po pokoju.

* * *

Z uczuciem spełnionego obowiązku wracał Leon rowerem do domu.

Dochodziła czwarta. Świt różowymi smugami zarysował się na poszarzałym niebie. W pałacu i na folwarku cisza panowała głęboka. Nawet psy nie szczekały. Powietrze było ciepłe i bezwietrzne.

Cicho otworzył drzwi od swego mieszkania. Podszedł do stolika który stał pod oknem by zapalić lampę. Zauważył, że w sypialni i Wandy paliło się światło, a przy otwartym oknie siedziała ona sama, otulona w biały szal. Twarz jej była ściągnięta bólem.

Nie zapalając lampy wysunął się z pokoju, obszedł cichymi krokami aleję akacjową i znalazłszy się pod jej oknem wspiął się po murze i wskoczył na parapet.

Nim zdążyła odskoczyć od okna i krzyknąć była już w jego ramionach i usta jego przywarły do jej warg. Leżała w jego ramionach bezsilna, bezwolna jak złapany ptak.

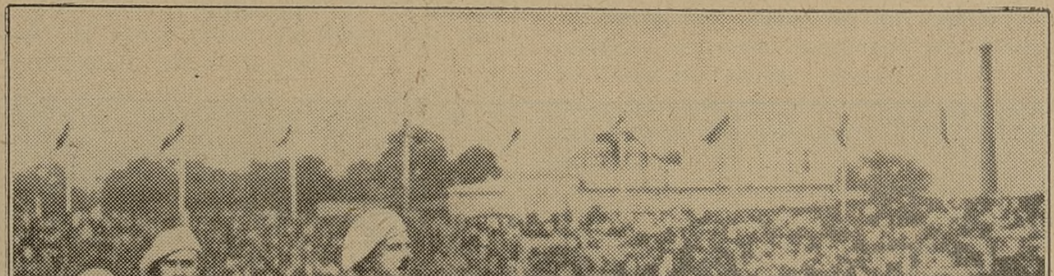
Puścił ją równie nagle jak wziął ją w objęcia. Nienawidzę pana — jeżeli w tej minucie nie odejdziesz zawołam o pomoc.

Roześmiał się ani zawstydzony ani przerażony jej groźbą.

— Ukarałem panią za wszystkie afronty i niegrzeczności wyrządzane mi na każdym kroku, a jednocześnie chciałem jej dowieść, że jeżeli tak pokornie znosiłem jej postępowanie, to nie z tchórzostwa lub braku ambicji, ale z własnej ochoty, że jestem zawsze panem swej woli.

Śmiejąc się wciąż zeskoczył z okna i znikł jej z oczu w alei. Widziała jeszcze jak wszedł do siebie.

Zamknęła okno, zasunęła roletę i zgasiwszy lampę upadła na łóżko. Kryjąc twarz w poduszkę rozpłakała się.



100,000 młodzieży rumuńskiej, święciło 8-lecie rządów Króla Karola, który dokonał z tej okazji przeglądu zdyscyplinowanych oddziałów.



Tak oto wyglądają młode, współczesne dziewczęta tureckie, które harem znają tylko jeszcze z opowiadania

Będzie musiała go odprawić. I to natychmiast.

Płakała długo i żałośnie nad sobą, nad swoją beznadziejną miłością i swoim brakiem szczęścia.

Obudziła się późno z bólem głowy i zapuchniętymi oczami.

— Leon musi wyjechać!

Odszukała pana Żułowskiego na werandzie. Korzystając z ciepłej pogody wygrzewał się na słońcu, paląc fajkę i przeglądając wczorajsze gazety.

— Wuju — rzekła bez najmniejszego wstępu. — Wymawiam panu Leonowi posadę od dziś.

Pan Żułowski upuścił gazetę na ziemię.

— Odprawiasz pana Leona od zaraz? Taki dobry administrator, porządny chłopiec...

— Musi odejść i odjechać natychmiast... powtórzyła z mocą.

Starszy pan westchnął ciężko.

— Wiesz najlepiej co robisz... Mnie osobiście twoja decyzja zaskoczyła przykro.

Nie podejrzewał pan Żułowski jak jej samej było przykro, jak boleśnie ściskało się jej serce na myśl że on odejdzie. Musiała go odprawić po jego zachowaniu się wczorajszej nocy.

Nie wychodziła z domu. Siedziała w swoim gabinecie podenerwowana, blada w oczekiwaniu na Leona.

O jedenastej zapukał do drzwi, przychodził do niej codziennie o tej porze po instrukcje.

— Wejść — rzuciła głosem, w którym nie mogła zapanować nad jego drżeniem.

Wszedł lekkim, elastycznym krokiem i zatrzymał się tuż przy biurku. Nie widać było na nim zmieszania lub skruchy w jego oczach.

— Przyszedłem prosić panią o zwolnienie z zajmowanej u niej posady...

Przeczuł, że go odprawi, uprzedził ją — zawirowało jej w myśli, a jednocześnie

— Odejdzie... odejdzie... nie zobaczy go więcej.

Siłą woli zapanowała nad wzruszeniem.

Nie patrząc na niego, bawiąc się ołówkiem, powiedziała jak mogła najspokojniej:

— Cieszę się bardzo, że i pan przyszedł do tego samego wniosku co i ja, że dalszy pana pobyt w Bereznej byłby nie do pomyślenia i że czym prędzej pan nas opuści, tym więcej mi to będzie na rękę.

— Dziękuję pani — ukłonił się sztywno i szedł ku drzwiom.

Z ręką na klamce obejrzał się za siebie. Wanda ukryła twarz w dłonie i ramionami jej wstrząsał płacz.

Znalazł się przy niej, okolił ją ramieniem:

— Ukochana.

Wyrwała mu się z objęć oburzona, wrogą. Ale gdy ujrzała jego spokojne spojrzenie pełne miłości, załamała się w niej cała wyniosłość i duma, rozpłakała się głośno. Utulił ją znów w objęciach:

— Nie płacz najdroższa...

— Ale pan... pan... nie kocha mnie... jąkała.

Uniósł jej zapłakaną twarz.

— Spójrz mi w oczy... — prosił.

Oczy jego mówiły jej tyle miłych rzeczy, tyle obiecywały, że łzy obeschły na jej twarzy momentalnie.

— Może znów przyjdzie chwila zwątpienia i niewiary, ale teraz była tak szczęśliwa, tak pełna radości, że zapomniała i tych uwag jego w pociągu o jej włosach i o flircie z Anną, o jego z nią postępowaniu.

Pamiętała tylko to, że kocha go i jest bezgranicznie szczęśliwa.

Usiedli na otomanie i tu trzymając jej ręce w swych dłoniach opowiedział jej całą swoją tragiczną historię aż do śmierci matki, do zerwania z Anną.

— A ja wierzyłam jej, że dla pieniędzy zerwałeś z nią, że kochałeś się w niej stale i płakałam po nocach, sypiać nie mogłam.

Przytulił jej ręce do swych gorących warg:

— Zakochałam się w tobie jak tylko cię zobaczyłem na środku salonu stojącą w aureoli swych złocisto-miedzianych włosów...

— Sam powiedziałeś o mnie w pociągu, gdy przed wojną jechałam z Haliną do Monachium, że nie lubisz ryżych kobiet.

— Głupi wtedy byłem, bo twój kolor jest dla mnie najpiękniejszym kolorem włosów.

Wyznał jej, że jego posada administratora u niej była tylko pozorem. Celem jego przyjazdu w te strony było tropienie agitatorów bolszewickich. Nie spodziewał się jednak, że się natknie na Annę.

Wkrótce po śmierci matki otrzymał zawiadomienie, że w Szanghaju umarł jego wuj i zostawił mu znaczny spadek w funtach angielskich. Wtedy zrezygnował z zajmowanego stanowiska i dobrowolnie zgłosił się do służby wywiadowczej, by tym sposobem odpokutować swoją przygodę z Anną i zrehabilitować się.

— A może nie zechcesz pokochać wywiadowcy?

Przytuliła się do niego.

— Za późno. Już kocham.

KONIEC



Słynny lotnik Udet poprawił ostatnio rekord światowy szybkości dla samolotów jednomiejscowych, przebywając 634 km/godz.

MAX DU VEUZIT

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

— Dotrzymuję zawsze swych przyrzeczeń.

— Nie wątpię... rozsądek mówił mi, iż pani tu będzie, nie byłem jednak przekonany o tem. Pani nie może tego zrozumieć, Sabino, pani, taka spokojna i rozsądna. Ja mam nieszczęście — czy też jeśli pani woli — szczęście, być zakochanym. A w tym jest trochę z szaleństwa, i to szaleństwo właśnie budziło we mnie wątpliwość w pani przyrzeczenie. Uspokoiłem się naprawdę wówczas dopiero, gdy panią tu zobaczyłem.

— Tak, szepnęłam, można się czasem łatwo poddać szaleństwu.

— Zwłaszcza, gdy brak całkowitego porozumienia z tą, którą się kocha.

Nie odpowiadam... Byłam niezdolna do odpowiedzi!

A zatem on się również obawiał? Nie może przecież tego udawać! Przed chwilą ja też byłam bliska szaleństwa. Czyżby mnie kochał? Kocha mnie!.

Niewymowne upojenie przenika mnie na myśl o tym! Chciałabym być spokojną i rozsądną, lecz, machinalnie, w przemożnej chęci zbliżenia, silniejszej od mej woli i nie dającej się opanować, dłoń moja wyciąga się ku jego dłoni, palce chwytają gorączkowo jego palce, obejmując je w nieprzytomnym uścisku. On wydaje się zaskoczony tym niespodzianym dotknięciem; niedowierza jednak temu gwałtownemu ruchowi, poprzestaje bowiem na zamknięciu mej dłoni w swych rękach, zachowując milczenie.

Brak słów jest czasem bardziej wymowny od najgorętszej rozmowy.

Usta nasze nic nie mówiły, czułam jednak, iż serca poraz pierwszy tego dnia, porozumiały się doskonale.

Za chwilę słowa będą znowu krążyć między nami, będziemy się może sprzeczać, ostre wyrazy jednego będą rozdzierać serce drugiego. Teraz zaś, w tej ciszy, każde słucha głosu tamtej duszy, wkładając w milczącą rozmowę tylko te słowa, które by pragnęło usłyszeć.

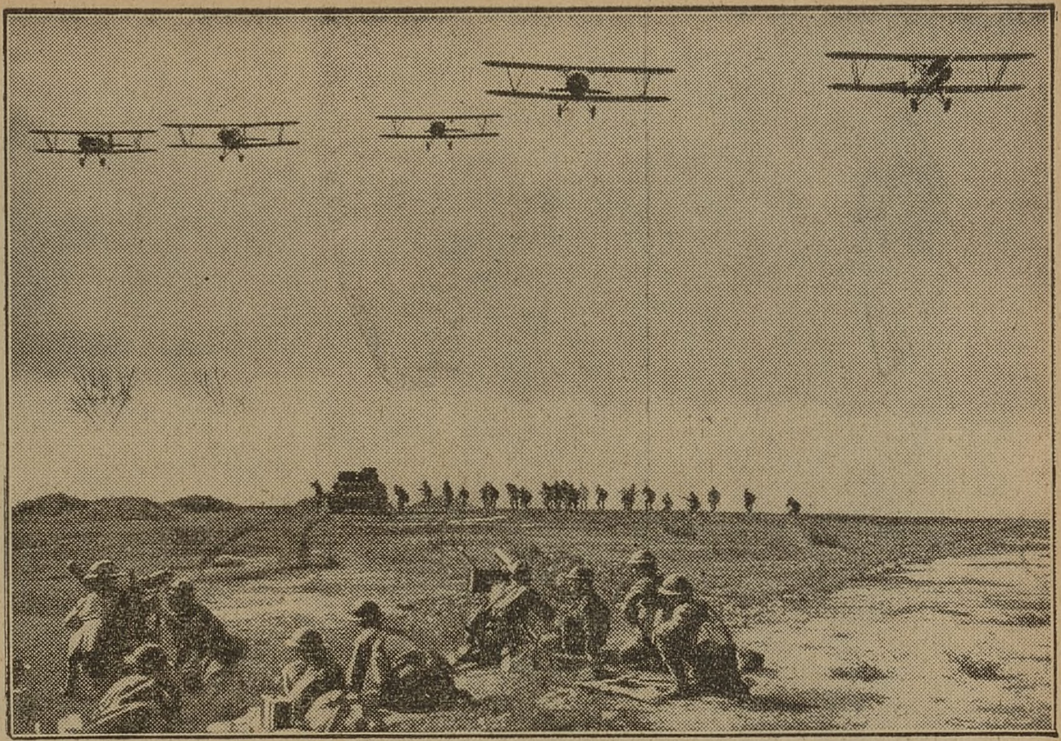
A słowa te musiały być niezwykle wymowne, ręka moja bowiem zaczęła drżeć w dłoniach, które ją trzymały w uwięzi i wielka, ciężka łza stoczyła się po mych policzkach.

Mój towarzysz zapewne dosłyszał również w tej ciszy słowa, których nie wypowiedziały me usta, gdyż nachylił się ku mnie, i ocierając ślad łzy, powiedział tylko:

— Niech pani nie płacze, Sabino. Przysięgam, iż dziś wieczór potrafię wzbudzić w pani na nowo stracone do mnie zaufanie.

* *
*

Samochód pędził z całą szybkością po nieznanej drodze, mijając obce miejscowości, mknąc wśród zielonych łąk, pnąc się wśród pagórków.



Ciekawe zdjęcie z manewrów armii St. Zjedn., przedstawiające atak samolotów na stanowisko karabinów maszynowych

Mój towarzysz zachowuje się wesoło, lecz za każdym razem, gdy go pytam, dokąd jedziemy, milknie, nie chcąc mi nic o tym powiedzieć.

Wydobył z łozinowego koszyka podręczne zapasy: zimne kurczę, kiełbasę, jajka na twardo, owoce i flaszkę wina. Obfity i smaczny posiłek.

— Do końca podróży jeszcze daleko, przekąśmy więc coś niecoś, to nam skróci drogę.

— Nie jestem głodna.

— Głód nadejdzie w czasie jedzenia. Zresztą będziemy na miejscu dopiero około godziny czwartej. Lepiej więc abyśmy się posilili w porze śniadaniowej.

I oto siedzimy naprzeciw siebie, nasze zbliżone kolana tworzą stół, prowianty są rozłożone obok nas na ławce.

Jakże miła jest ta chwila.

Powodowani tymi samymi skrupułami, unikamy w naszej rozmowie wszystkiego, co mogłoby zepsuć obecną chwilę. Odczuwamy bowiem oboje, iż ta zgoda jest zbudowana na sztucznym tylko porozumieniu.

Życzeniem naszym jest zawarcie pokoju, nie ma go jednak ani w naszych sercach, ani w naszych mózgach.

Wiemy dobrze, iż gdybyśmy byli posłuszni tylko instynktowi padlibyśmy sobie w ramiona; wiemy jednak, iż zanim pokój zapanuje w naszych duszach, czekają nas jeszcze burzliwe dyskusje, możliwości walki i niebezpiecznych zderzeń, w czasie których możemy wzajemnie zranić się boleśnie.

Perspektywa tego nieporozumienia, napawa nas straszliwą obawą każąc nam dobierać słowa i temat obecnej rozmowy.

Godziny szybko płyną... i nagle Jan woła:

— Jesteśmy już blisko celu podróży. Jeszcze kilka chwil, i to sam na sam z panią, które wydało mi się tak słodkie i pełne ukojenia, będzie skończone.

Pochylam głowę, ogarnięta smutkiem wobec tej perspektywy. Wydaje mi się, iż znowu zostaję wciągnięta w dramatyczną sytuację, przeznaczenie przygniata mnie.

Poważny głos mego towarzysza zmusza mnie do przeżywania chwili obecnej, nie myśląc o tych, które mają nastąpić:

— Sabino, wkrótce nie będziemy już sami. Inni będą mówić za mnie i stwierdzą te wartości moralne, których pani mi odmawia.

— Tylko matka może ręczyć za szczerość swego syna. Czy mylę się? Domyślam się już w czasie podróży, iż przedsięwziął ją pan jedynie po to, by mnie zawieść do swej rodziny.

— Zgadła pani, jednakże powita panią nie moja matka, straciłem ją już bowiem dość dawno. Tym niemniej, znajdzie się pani wkrótce w obecności tych jedynych istot, które mi pozostały na ziemi i gdy pani będzie z nimi, wszystko co mam najdroższego w świecie zjednoczy się pod jednym dachem.

— Jestem panu bardzo wdzięczna za przywiezienie mnie do jego rodziny. Może jednak lepiej by było uniknąć tego niepotrzebnego spotkania.

— Oni potrafią przekonać panią o mej szczerości.

Wstrząsnęłam w zadumie głową. Nie przypuszczałam, aby jakieś obce wpływy mogły zatrzeć we mnie wspomnienie Róży...

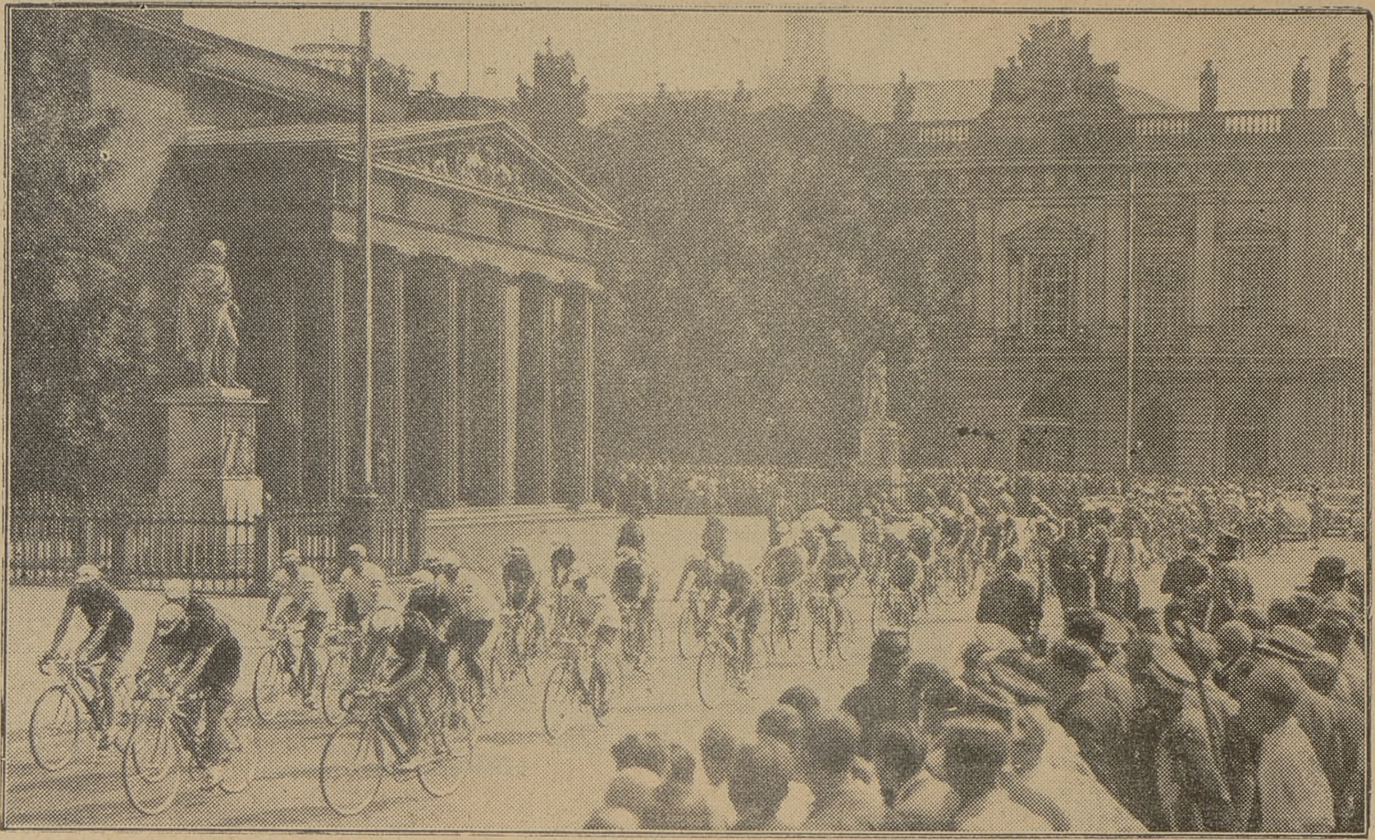
— Jednakże chciałbym, aby pani zawdzięczała to sobie samej. Czy może pani obdarzyć mnie, z dobrej woli i bez głębszego zastanowienia się, czasowym zaufaniem, pomimo wszystkich refleksji, nasuwających, zdaniem pani, usprawiedliwione wątpliwości.

— Zaufam panu chętnie jako przyjacielowi... byle mnie to do niczego nie obowiązywało w przyszłości.

Nie mogłam się zdobyć na jaśniejszą odpowiedź.

— Czy to ma znaczyć, Sabino, iż odmówiłaby mi pani, gdybym prosił, aby pani została moją żoną, oczywiście pod warunkiem, iż udowodnię pani moją szczerość?

Na te słowa jęk wydarł mi się z piersi. Dlaczego on mnie tak torturował? Nie



W Berlinie odbył się start do olbrzymiego biegu kolarskiego, którego trasa wynosi 4 000 km, a bierze w nim udział 64 zawodników z sześciu państw

wątpiłam już w jego szczerość od kilku godzin... Ale była Róża i, gdybym nawet przebaczyła mu tę słabostkę względem niej, nie mogłam dopuścić do tego, by zająć miejsce należne innej, stając się tym samym, wspólniczką jego nikczemności.

Blada, ze ściśniętym gardłem, musiałam powiedzieć mu okrutne słowa, które nas rozdzielały na zawsze, czyniły nas obcymi dla siebie.

— Zdecydowałam się bezwarunkowo, panie Janie: nie zostanę nigdy żoną pana.

— Sabino!

— Nie, nigdy! odpowiedziałam stanowczo, mogę jednak przysiąc panu jednocześnie, iż nigdy... słyszy pan, nigdy nie wyjdę za mąż.

— Te słowa, na szczęście, nie są nieodwołalne, wyrzekł z trudem.

— Przysięgnę to, wobec kogokolwiek pan zechce.

Rozpacz odmalowała się na jego twarzy.

— Och, Sabino, gdybym nie był pewny szczerości mych uczuć... ale przecież przekonam panią...

— Proszę pana...

— Tak, tak, przekonam panią! Gdybym nie miał tej nadziei, nie pozostawało by mi nic innego, jak roztrzaskać głowę o przydrożne kamienie, wobec tej odpowiedzi tak sprzecznej z uczuciami, które mam dla pani. Ale, mimo wszystko, co mi pani mówi, nie tracę pewności. Będę czekał!... Nie tracę nadziei do samego końca!

Bolesne milczenie zaległo po tych słowach. Było w nas tyle cierpienia w tej chwili, iż nie myśleliśmy nawet o tym, by zachować wrogą postawę wobec siebie.

Widziałam ból w jego ściągniętych i zmienionych rysach. On odgadywał me cierpienia w tej chwili, iż nie myśleliśmy nawet o tym, by zachować wrogą postawę wobec siebie, jakgdyby chcąc mnie pocieszyć.

Ujrzałam nagle, iż wyjął z kieszeni niewielkie pudełeczko.

— Proszę mi pozwolić, Sabino, włożyć pani na palec ten pierścionek.

Zrobiłam stanowczy ruch.

— Nie, nie, to nigdy! Powiedziałam przecież panu: nigdy....

Wyjmując pierścionek z pudełka, odpowiedział mi ze smutkiem:

— Niestety! Pragnąłbym na swój rachunek włożyć pierścionek na pani palec... i dlatego tak zwlekałem z wykonaniem misji, którą mi powierzono. Proszę spojrzeć.

Wyciągnął ku mnie błyszczące kółko, lśniące tysiącem ogni i blasków.

Zdziwiona najprzód, potem zaskoczona, gdyż widziałam już gdzieś ten pierścionek, oglądałam go z uwagą. I nagle, uprzytomniłam sobie:

— Pierścionek Janusza de Saumarte... jego matki.

— Tak, odpowiedział, pierścionek pani biednego przyjaciela.

— Jakim sposobem znalazł się on u pana?

— Wyjeżdżając z Belle Vue, zabrał go ze sobą. Po operacji, w czasie tych kilku dni polepszenia, na skutek udanego zabiegu, kazał przysiąc Blance, że ten pierścionek będzie wręczony pani; pani była narzeczoną, wybraną przez niego. Pani tylko miała prawo włożyć na palec pierścionek jego matki, który uważał za najwyższą rękojmię miłości i zaufania.

— A zatem? spytałam, widząc, iż przerwał.

— A zatem, podjął, gdy żegnałem się z Blanką przed wyjazdem do Belle Vue, powierzyła mi ten klejnot, poruczając mi wręczenie go pani w imieniu jej brata, Janusza de Saumarte.

— A jednak, rzekłam, pisała mi, że... życzy mi... by ja... by pan...

— Bym panią pokochał i by pani przyjęła mnie za dozgonnego towarzysza?

— Tak, właśnie.

— A więc, nie przypuszczam, aby ten pierścionek był przeszkodą... Nigdy nie sądziłem, by mógł nas rozdzielić: przecież wdowy wychodzą powtórnie za mąż. A cóż dopiero młoda dziewczyna, która była tylko pośmiertną narzeczoną chorego człowieka, biednego automata, pozbawionego wszystkich darów natury.

— O przepraszam!. On był dobry, prawy; był szczery; był moim najdroższym, jedynym przyjacielem.

— Tym lepiej, droga Sabinko, iż pozostały pani tak piękne wspomnienia o tym biednym chorym. Przypuszczam jednak, iż wykiełkowały one w pani imaginacji, pobudzonej szlachetną litością dla tego nieszczęśliwego. Jakby nie było, obarczony misją względem pani, zwlekałem z jej wykonaniem, odkładałem z dnia na dzień, starając się z męską godnością, wzbudzić w pani miłość dla siebie, by móc we własnym imieniu włożyć na pani palec, pierścionek o takim samym znaczeniu... Pierścionek, który nie byłby tylko symboliczną obrączką biednego chorego, mającego najwyżej prawa do litości pani... który połączyłby panią ze mną, zdrowym i silnym, który związałby nas świętym węzłem miłości, zaufania i szczęścia na całe nasze wspólne życie.

Słysząc jak roztaczał przede mną to, co mogłoby być, jęknęłam znowu żałośnie:

— Błagam pana, niech pan mnie tak nie dręczy: są sprawy, wspominanie o których jest okrucieństwem! Powiedziałam już panu, że nigdy nie wyjdę za mąż.

— Nie zapomniałem tych bezlitosnych słów pani... i to właśnie dodaje mi w tej chwili siły do wykonania dla innego tego, co pragnąłbym zrobić dla siebie. Oto pierścionek, Sabino. Proszę mi pozwolić włożyć go pani na palec w imieniu Janusza de Saumarte i jego bliskich, którzy pragną uważać panią za członka rodziny. I, ponieważ na razie odsuwa mnie pani od siebie, proszę mi przysiąc, iż od tej chwili,

będzie pani zawsze i w oczach wszystkich uważać się za narzeczoną, związaną słowem z ostatnim z Saumarte'ów.

— Narzeczona Janusza! wyjąkałam przerażona.

Pierścionek błyszczał na mym palcu nieporównanym blaskiem, rzucając migotliwe ognie, które, w cieniu samochodu, wydawały się gwiazdą lśniącą wśród chmur na ciemnym firmamencie nocy.

— Narzeczona Janusza! powtórzyłam zrozpaczona.

Było to tak niespodziewane, a przytem tak proste, naturalne, pochodziło bowiem od Janusza de Saumarte i Blanki, iż nie mogłam się zdobyć na opór... nawet na najmniejszą myśl sprzeciwu.

— Proszę mi przyrzec, Sabino, nalegał młody człowiek. Proszę choć to obiecać mi... dla innego!

— Dla innego...

Podniosłam na niego błędne oczy.

— Dla tego, który, w pani sercu, w pani oczach, jest bez błędu.

— Chce pan bym...

— Ponieważ pani nie chce, abym to ja był... niech mam przynajmniej pewność, że nigdy naprawdę nie będzie kto inny! Taki rzeczywisty kto inny.

— Niestety!

— Przyrzeka pani, Sabino?

— A jeśli on, pomimo wszystkich przewidywań, powróci do zdrowia?

— Wówczas, tym lepiej dla niego, tym gorzej dla mnie.

Zachmurzyłam się tą perspektywą.

— Nie wyjdę nigdy za mąż, powiedziałam po zastanowieniu.

— Nawet za Janusza de Saumarte? zapytał z uporem.

Uczułam bolesne kołatanie w mózgu wobec tego ścisłego zapytania.

— Pocóż przewidywać podobną ewentualność? wyjąkałam rozpaczliwie.

— Trzeba mieć odwagę spojrzeć w głąb swego serca na ukrytą tam prawdę.

— Prawdę?

— A więc?

Miałam krótką chwilę wahania.

— Jeśli Janusz wyzdrowieje i poprosi, bym została jego żoną, zgodzą się na to, powinien bowiem mieć tą pewność, iż we wszystkich okolicznościach może liczyć na moje oddanie, wdzięczność i szczere przywiązanie.

Wydało mi się, iż czoło mego towarzysza okrywa się chmurą, w miarę jak mówiłam.

— Wszystko więc składa się jak najlepiej, powiedział bezbarwnym głosem. Ten pierścionek jest na właściwym miejscu na palcu pani.

— Pozostanie na nim przez całe moje życie, odpowiedziałam ze smutkiem, wobec tego, iż nigdy nie wstąpię w związki małżeńskie; chyba, że Janusz de Saumarte powróci jakimś cudem do zdrowia, co wszyscy uważają przecież za niemożliwe.

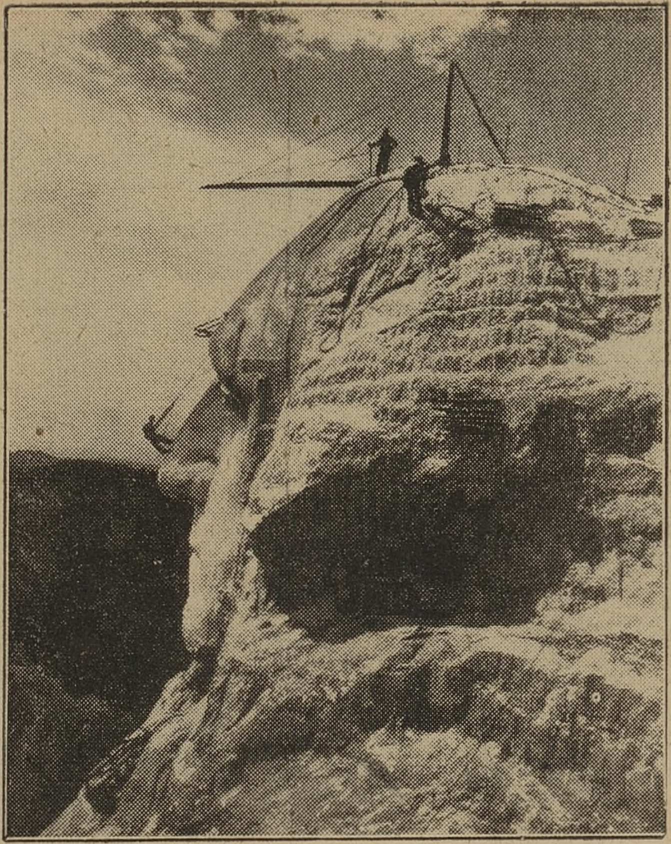
— Należało by jednak przewidzieć miłość, rzekł łagodnie.

— Nigdy się nie zakocham.

— Czy jest pani zupełnie pewna tego, że nie za późno na takie twierdzenie?

Przerwał, zatapiając spojrzenie w mych źrenicach.

— Zaślepienie czy przenikliwość? Któż mi powie, czyje imię wypisane jest w sercu pani, skoro pani nie chce go odczytać?



W skałach stanu Dakota (St. Zjedn.) wykuto olbrzymią głowę prez. Waszyngtona

— Nie jestem zaślepiona... i wiem, że jeśli poza moją świadomością jakieś imię zostałoby wypisane, musiałabym wytężyć swą wolę, całą wolę, by je przekreślić i zapomnieć.

— Ponieważ...

— Niektóre imiona są może wypisane w dwóch miejscach jednocześnie... Lekkomyślność, kokieteria lub fałsz. Ja się o to nie staram... Uznaję tylko wyłączność.

Schwycił mnie nagle za rękę.

— Sabino, przysięgam pani...

Samochód się zatrzymał.

— Przyjechaliśmy, panie Salvin. Czy nie pilno zobaczyć panu swoich?

— Przepraszam, muszę przedtem wiedzieć...

Wyrwałam mu rękę, którą gniótł nerwowo w swych dłoniach.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia panu. Chciałam tylko zapewnić pana, iż mam doskonały wzrok, jakkolwiek lepiej by może było, abym naprawdę była ślepa, tak jak to pan przed chwilą przypuszczał.

Wyskoczyłam z samochodu, pozostawiając go w osłupieniu.

Przede mną wznosił się wielki biały dom, odcinający się jasną plamą na tle otaczających go wysokich, ciemnych sosen. Rozległy trawnik, usypany mnóstwem wielobarwnych kwiatów, rozpościerał się u stóp podcienia, niby wielkie jezioro, lśniące tysiącem blasków w promieniach słońca.

Oczy moje spoczęły z przyjemnością na tym krajobrazie, tchnącym ciszą i spokojem.

W tej chwili ukazała się u wejścia postać kobieca.

Krzyknęłam, nieprzytomna z radości, i rzuciłam się gwałtownie naprzód, skacząc po dwa stopnie naraz, by znaleźć się w ramionach Blanki, czule mnie obejmującej.

— To ty, najdroższa!

— Moja mała Sabinko!

Nie wypuszczając mnie z objęcia, Blanka poprowadziła mnie w głąb pałacu.

— Ty tutaj, Blanko! Jakże jestem zadowolona!

— Nie wiedziałaś o tym, iż mnie zobaczysz?

— Ależ nie. Wyobraź sobie, że przypuszczałam, iż pan Salvin wiezie mnie do swej rodziny.

Ten, o którym mówiłam, właśnie nadchodził.

— Powiedziałem, iż jedziemy do „wszystkiego co mam najdroższego w świecie, nie wyłączając pani".

— To prawda! Nie zwróciłam uwagi na ukryte znaczenie tych słów.

Blanka, pytającym wzrokiem wodziła ode mnie do młodego człowieka.

— A więc, moje dzieci, mogę wam powinszować?

Rumieniec okrył mą twarz, podczas gdy czoło mego towarzysza przecięła bolesna zmarszczka.

— Nie mówmy o tym, proszę cię Blanko, wybąkałam.

Lecz ona nalegała dalej:

— Co to znaczy? Widzę was razem, odwiedzających mnie wspólnie jak dwoje nierozłącznych narzeczonych i, od pierwszych słów, wyczuwam jakieś nieporozumienie. Sabina przyjechała tu, nie wiedząc nawet, iż zastanie mnie tutaj.

— Skądże mogłam wiedzieć? Przypuszczałam, iż jesteś w pobliżu granicy szwajcarskiej.

— A więc jesteś w Houbron... w moim domu!

— Tak daleko!... Oh! i powiedzieć, że ja niczego się nie domyślałam!!

— Samochód jechał z wielką szybkością, wtrącił skromnie Jan Salvin.

— Dokąd przypuszczała Sabina, iż ją wieziesz?

— Do mojej rodziny, zdaje się.

— Nie powiedziałeś jej?

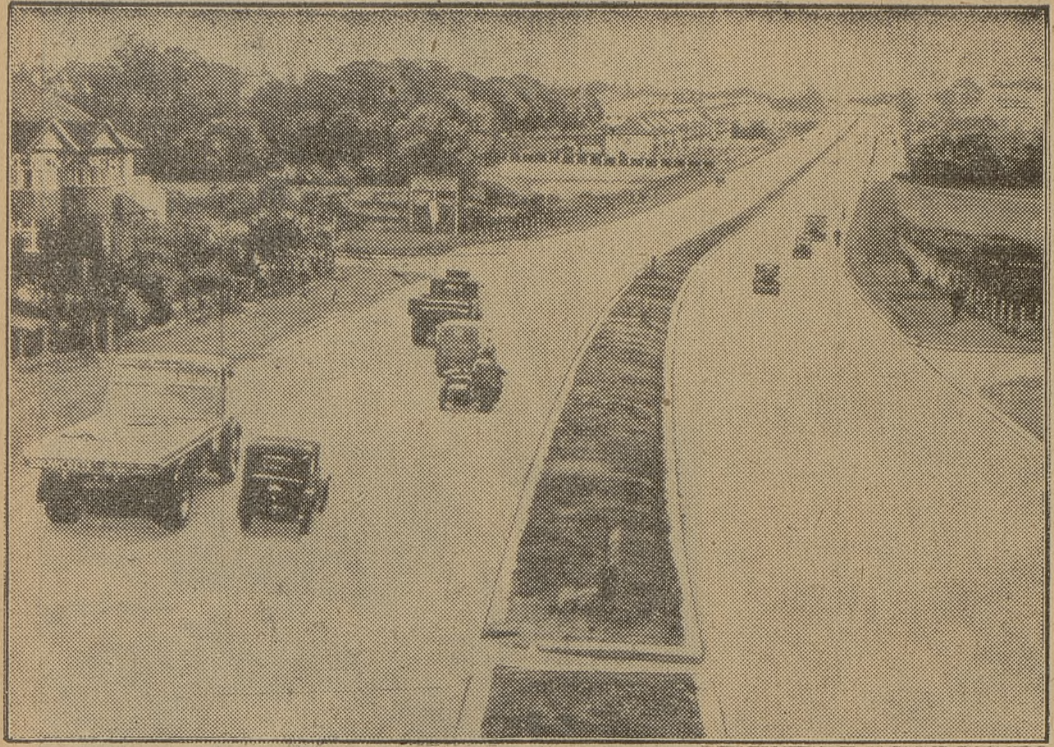
— Nie. Ona nic nie wie.

— Ah!

Blanka patrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Jak się czuje twoja babka? spytała wreszcie z wysiłkiem.

— Lepiej, znacznie lepiej!



W Anglii zbudowano nowoczesną autostradę, według wzoru niemieckiego

Odgadując ukryty powód jej zdziwienia, wytłumaczyłam jednym tchem:

— Posłała mnie po zakupy do Dijon... Pan Salvin dogonił mnie w drodze... chciał się ze mną rozmówić... mieliśmy odmienne poglądy na pewne sprawy. Prosił, chcąc mnie przekonać, bym pojechała z nim. Zgodziłam się wreszcie i oto jestem tutaj, ale bynajmniej nie przekonana o niczym. O ósmej godzinie muszę być z powrotem u babki. Teraz jest czwarta, w żaden sposób nie będę w Presec o oznaczonej godzinie. To będzie nieszczęście... Jak to dobrze, Blanko, iż jesteś tutaj, to przynajmniej usprawiedliwia moją eskapadę, tak odległą od Dijon! Niemniej jednak, choć obecność moja tutaj jest w ten sposób łatwo wytłumacza — tak z pewnością, bardzo łatwo!... wydaje mi się niezmiernie trudnym powiedzeniem o tym wszystkim babce.

— Rozumiem, iż to bardzo trudne! odrzekła Blanka, której zdawało się trochę rozjaśniać w głowie. Przyjechaliście w odwiedziny do mnie, by... przedłużyć wasze sam na sam, które mogło źle się skończyć... Ja służę jako oficjalny pretekst!

— Oh!

— Nie zaprzeczaj, Sabino; w grucie rzeczy sprawa tak się przedstawia. Przyznajesz się do eskapady... i usiłujesz napróżno usprawiedliwić tą eskapadę.

— Tego tylko brakowało! — odezwał się Jan ponuro.

Blanka nie dała się jednak zbić z tropu tym powiedzeniem mego towarzysza. Zabrała się teraz do niego:

— Co do siebie, Janku, mówiła dalej, masz rozczarowaną minę wesołego jegomościa, który nie skosztował obiecywanych sobie przyjemności...

Jan przerwał jej gwałtownie:

— Miałem zaszczyt dziś rano prosić pannę Sabinę o rękę... Odmówiła mi. Jestem podbno nieodpowiednim mężem dla niej.

Gorycz, dźwięcząca w głosie Jana, zrobiła na Blance wrażenie. Przestała drażnić się nami.

— Dlaczego? Co ci brakuje, by zostać przyjętym przez Sabinę?

— Otóż właśnie nie wiem. Nie chce mi tego wytłumaczyć... przywiozłem ją do ciebie, byś ją spytała, byś jej powiedziała, że ją kocham, ją jedną tylko! Że jestem szczery, że... Wreszcie postaraj się ją przekonać jak chcesz, gdyż, jeśli jej odmowa jest definitywna, czuję się zdolny do jakiegoś głupstwa.

Niewymownie zażenowana wciągnięciem Blanki w tę sprawę, zoskoczona poza tym poufałym tykaniem jej przez przyjaciela męża, czułam się okropnie nieswojo. Opuściwszy głowę, oddalając się instynktownie od dyskutującej pary, zbliżyłam się do kominka, na którym płonął jasny ogień, mimo ciepłej pogody. Z oczami wbitymi w płomienie, starałam się zachować spokój, usiłowałam być opanowaną, choć czułam, iż gonię już ostatkami sił.

Blanka zwróciła się ku mnie:

— Sabino, dlaczego odmawiasz Janowi? Trzeba być szczerą i dać otwartą odpowiedź... Czy ci się on nie podoba?

— Nie wyjdę nigdy za mąż, wyjąkałam.

— Dlaczego?

— Nie chcę wychodzić za mąż.

— Ależ dlaczego?

Chcąc zapobiec dalszym pytaniom, wyciągałam ku niej rękę wskazując pierścionek jej brata:

— Przede wszystkim, widzisz, wybrałam już: Jestem zaręczona, nie mogę poślubiać kilku mężczyzn naraz.

Z kolei Blanka osłupiała.

Patrzyła na pierścionek, niedowierzając oczom. Wreszcie, zwracając się do Jana, zawołała:

— A więc, zdaje mi się...

— Otóż to właśnie. Przyjęła twego brata, ale mnie odmawia. Rozumiesz to?

— Przypuszczam, że gdyby ta mała znała prawdę...

— Oh, znam ją doskonale, przerwałam, Janusz jest nieuleczalnie chory! A propos, jak się on czuje?

— Źle! Bardzo źle! wykrzyknął Jan Salvin. A wreszcie dość już tego chorego, który absorbuje panią całą. Od dwóch miesięcy, od kiedy mam zaszczyt znać pannę Sabinę, słyszę tylko wciąż o cnotach tego okropnego poczciwca!

Po tym gwałtownym okrzyku, spojrzałam z niepokojem na Blankę, przypuszczając, iż te okrutne słowa sprawią jej przykrość, ona jednak zdawała się ogłuszoną.

Pod jej zdziwionym, badawczym spojrzeniem straciłam zupełnie grunt pod nogami.

Przypuszczała, iż jestem zakochana w Januszu de Saumarte! Wyobrażała sobie może, iż między automatem i mną istniały jakieś tajne sprawy! Zgadzać się na takiego męża i odmawiać pięknemu i zdrowemu chłopcu jak Jan Salvin!

Każdy ma swój gust, ale mój wybór zdawał się zbijać ją z tropu.

Spotkawszy dwuznaczne spojrzenie Blanki, uczułam nagle zawrót głowy, miałam wrażenie, iż gdzieś spadam i wyciągnęłam ręce jakby chcąc się uczepić jakiejś zbawczej gałęzi.

— Oh, zawołałam na wpół przytomna. To nie to! Nie sądzisz chyba, iż jestem zakochana w panu de Saumarte. Na samą myśl o tym, można umrzeć ze wstydu, Blanko, przysięgam ci...

I, nie wybierając już w tym, co chciałam powiedzieć, a co chciałam ukryć, ciągnęłam dalej nieprzytomnie, chwytając każdą myśl, jak chwytałabym każdą kępkę trawy, mogącej mnie ocalić podczas gwałtownego staczania się w przepaść.

— Nie, nie jestem zakochana, nie mogę przecież być zakochana w automacie! Ale pan Salvin nie powinien był... nie miał prawa... powinien być szczerym... Dlatego odmawiam... bo Róża... nie mogę! Wiem widziałam na własne oczy! To byłoby niskie z mojej strony.

Zalałam się łzami, i kryjąc twarz w dłoniach, usiadłam w dużym fotelu.

Jan Salvin zdawał się być spiorunowany moimi słowami. Jakie wspomnienia mu się nasunęły pod ich wpływem?

Blanka zaś przeciwnie, uchwyciła od razu to, co zostało przeze mnie niedopowiedziane. Skierowała się do małego biureczka z mahoniu, otworzyła jedną z szuflad i wydobyła spośród wielu innych, jakiś list. Poczem, wróciła do Jana Salvin, który nie ruszył się z miejsca i podając mu list, rzekła:

— Czytaj! Zrozumiesz wszystko!

Spojrzał na kopertę, na pismo. Cień zdziwienia przemknął w jego wzroku, z chciwością niemal, przemknął oczami po podanym mu przez Blankę liście.

Kończył już czytanie, gdy nagle poznałam z dala swoje pismo. Chciałam protestować przeciw popełnianej niedyskrecji, było już jednak za późno: Jan Salvin przerzytał przed chwilą mój ostatni list do Blanki... ten, w którym pisałam jej o Róży!

Złożył powoli arkusik papieru, włożył go do koperty i oddał Blance.

Radość promieniowała z jego oczu.

— Róża! Oto wyjaśnienie! Wolę to, niż co innego!

Przesunął rękę po czole, jakgdyby powracał myślami z jakiejś dali.

— Obawiałem się czegoś poważniejszego! Istotnie, poufałość Róży względem mnie musiała być niezrozumiała dla Sabiny... a przecież to nic nie było!

Rozbawiony uśmiech igrał na jego ustach.

(Ciąg dalszy na stronie 513)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

JAŚMINY

(Z poematu: Czekam)

Dziś znów,
ku tobie płyną
me myśli —
w zmierzchu sinym —
Dziś znów,
jak dawniej kwitną
Jaśminy...

Jest taka sama wiosna,
a jednak —
jak bardzo
daleka —
co w słowie się jednym ukrywa:
Czekam...

Jest tak, jak dawniej było
bez cienia smutku
i winy...
za mnie,
za ciebie mówią:
Jaśminy...

Kto sad dziś nasz odwiedza,
gdy wiatru
senny powiew
kwiat strąca
w cień wspomnienia —
powiedz?!

Któż szepce wśród gałązek
róż dzikich
i tarniny?...
— — — Smutek mój przyprószyły
Jaśminy...

Józef Baranowski.

PÓŹNIEJ!...

„Farita“. Na razie dziękuję Ci serdecznie za pocztówkę — później pomówimy z sobą obszerniej. Co nie powinno wstrzymać Cię od przysyłania mi częstych listów. Możesz być pewna, że czekam na nie.

Zasyłam moc dobrych życzeń.

POZDROWIENIA Z KRAKOWA

„Wiośniany Uśmiech“ i „Czar Młodości“ przesyłają nam miłe pozdrowienia z Krakowa.

Dziękuję Wam serdecznie za pamięć i proszę o długie, długie listy!

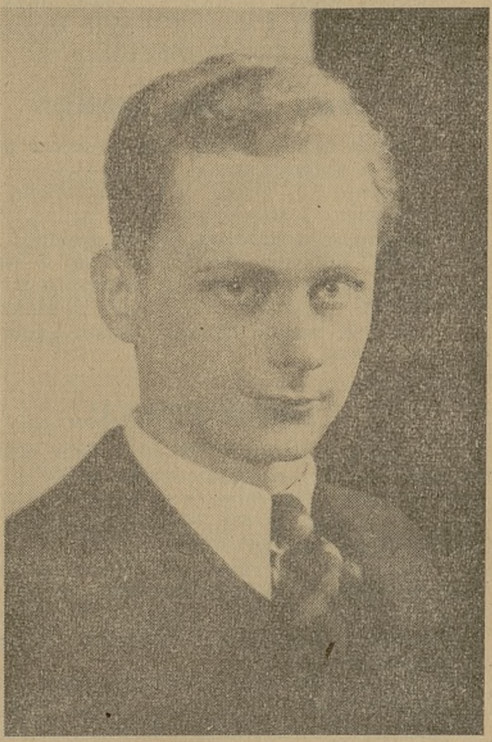
LIST „KALINY“

„Kalina“. Nic tak dokładnie i tak dobrze nie scharakteryzuje Pani osobę, jak jej własny ostatni list, który — pozwoli Pani, sądzę — przedrukuję.

„Krainiacy“ są tacy mili — tak umieją przekonywująco zachęcić do nawiązania z nimi nici korespondencyjnej, że nie mogłam oprzeć się — przylgnęłam do niej sercem, wzamian za co chciałabym upomnieć się o cząsteczkę tegoż u naszej „Rodziny“! Czy będzie Pani w tym nieocenioną pośredniczką? Pani jest naszą „Kochaną Mateńką“ My Pani za to wielkie serce nigdy się nie odwdzięczymy, bo wdzięczność jest na to za mała. Ale jeśli choć trochę, choć w części zdołamy wynagrodzić Jej za miłość i dobroć, jaką nas obdarza, niech wie, że my Ją także całym małym sercem (egoizm brzydki na więcej nie pozwala) — kochamy.

Czy Pani wie, co ze mnie zrobiła? Z pesymisty, ze zgorzkniałego człowieka — wydobyła jasne uśmiechy — przez Swoją miłość i dobroć, pozwoliła dopatrzeć się piękna i dobra na świecie. Pozwoliła ocknąć się zgnuśniałej duszy — pozwoliła zedrzeć pęta apatii, zbudziła dobre pragnienia zaznania radości życia. To Pani dzieło — a jeśli się zważy, ile ludzi przez rozpacz i apatię ginie, jeśli nie dosłownie, to w tym znaczeniu, że gubią swoje wartości moralne — to należy przyznać, jest to wielkie dzieło. Mam to Pani do zawdzięczenia i wiem, że wiele, bardzo wiele innych ma ten sam dług wobec Pani.

Nie mogłam się nigdy zdobyć na wypowiedzenie tego, co czuję dla Pani — dziś mi się to również nie udaje, proszę jednak nie tylko słowa czytać, proszę mię choć troszeczkę wyczuć, jeśli to możliwe na dzielącą nas przestrzeń. Pani — przekonałam się, ma ten wielki dar wyczuwania istotnych uczuć, i w tym wyczuwaniu przestrzeń nie jest żadną zaporą — prawda? Dlatego wierzę, że mnie Pani wyczuje i wiedzieć będzie, że tylko cząstkę tego, co naprawdę dla niej żywię, przekazałam słowom listu.



Henry Korn, pierwszy abonent „Moich Powieści“, sympatyk „Teczki Wujka Janusza“ i „Krainy“.

Pragnę, choć wiek mój może nie upoważnia mię do czerpania tylu radości — pragnę zagarnąć szczyptę radości z „Krainy“ dla siebie W tym celu piszę do różnych „Krainiaków“ — szczególnie do tych, którzy tej radości mają wiele. Są pewnie młodsi ode mnie — bo ja liczę już 25 lat — ale może właśnie oni zarażą mię swoją młodością. Może potrafię radośniej — przez ich pryzmat — patrzeć na świat. Chcę zapomnieć o tym co było wczoraj — chcę od dziś myśleć i żyć inaczej. Pragnę, by ci młodsi — byli mi w tym pomocni.

Jeśli to możliwe — proszę mój apel dawniejszy w połączeniu z tym zamieścić w Krainie. Oto on:

Kto z Braci Krainiackiej napisze do „Kaliny“? Była kiedyś smutną — dziś chce być wesołą. Kto jej w tym pomoże? Jak wyglądam — wiecie z fotki, uśmiecham się do Was. Uśmiecham się, bo „Kraina“ to radość. Czasem smutkiem od niej powiewa, bo nie ma samych tylko łez, jak samej radości być nie może, ale samo przebywanie w Jej przytulnym kąciku budzi radosne uczucia — budzi przedziwną ufność, że tu znajdziemy ukojenie naszych trosk. A za tym napiszcie do mnie — dajcie mi tak bezpośrednio troszkę swojej radości, bym w niej mogła zupełnie zapomnieć o dawnych smutnych chwilach. Czy dobrze?

Czy mogę prosić „Dyktatora“ o napisanie kilku słów pod moim adresem?

„Wytworny Włóczęga“ nie byłby również łaskaw?

A teraz — gdy już wszystkie pragnienia wypowiedziałam — chcę Was serdecznie pozdrowić, zasyłając wszystkim uśmiech odrodzenia.

Jak myślisz — Kochana Pani Zosieńko — napiszą do mnie? Tak się boję, że nie — mam tremę, choć naprawdę w daleko ważniejszych wypadkach nie mam jej zupełnie“.

KTO WIE O WOLNEJ POSADZIE BIUROWEJ?

„Stefcia“ i „Lucia“. Dzieciny Moje Drogie! Ogromnie serdecznie dziękuję Wam za te cudne, pachnące magnolie, które nadesłałyście mi dnia 9 maja. Rzeczywiście był to „cudny dar wiosny“ od cudownie miłych przyjaciółeczek moich. Zapachem przenikliwym i upojnym zapełniła się nagle redakcja, gdy rozpakowano przesyłkę od Was. Zabiło mi radośnie serce na widok tych wytwornych kwiatów i biło tak miło i wdzięcznie aż do ich zwiędnięcia, a myśl pogodna wracała stale do wspomnienia dwu główek dziewczęcych — jednej jasno - popielatej, drugiej ciemnej, które mam na fotografii, schowanej w albumie.

Liściki obu Pań dosłałam na właściwy adres. „Krainiacy“ głosują za zjazdem, przeciw zjazdowi miałam, jak dotąd, tylko jeden głos. Na razie jeszcze czekam na resztę głosów i oczywiście na ustalenie daty zjazdu.

Zaskoczyła mnie wiadomość, że „Lucia“ straciła posadę w biurze. Niestety, nie znam żadnego przedsiębiorstwa, w którym jest wakująca posada, ani nawet nie znam majątku, w którym mogłaby znaleźć zajęcie w charakterze sekretarki.

A może ktoś z „Krainianek“ albo „Krainiaków“ wie o jakiej pracy biurowej — niech by napisał do „Luci“. Miejscowość ewetualnej posady obojętna.

Koleżanka nasza pięć lat pracowała i umie wszystko, co należy do księgowości. Proszę napiszcie, jeżeli macie coś odpowiedniego.

Gdybyś zdecydowała się na ogłoszenie, to radzę dać je w „Mojej Przyjaciółce“ — ceny ogłoszeń są podane na ostatniej stronie zarówno „Moich Powieści“, jak i „Mojej Przyjaciółki“. Ponadto poszukujący pracy otrzymują 50 procent zniżki od normalnej opłaty.

Życzę Ci jak najszybszego uzyskania nowej posady i całując Ciebie i „Stefcię“, przechodzę do komunikatów:

„Halo! Tu „Stefcia“! Przesyłam szczere uznanie dla „Blanki“ za wierszyk „Przyjdź“. Również dla p. Tadeusza Multańskiego za wierszyk „Czy jest na świecie?“ Może ktoś z wymienionych poświęci i mnie króciutki wierszyk? Kiedy „Bursztynowe Serduszko“ ma zamiar przyjechać do Grudziądza? Chętnie poznałabym ją! Niech proszę napisze liścik do mnie!

„Wytwornemu Włóczędze“ i „Milusiowi II“ zasyłam pozdrowienia.

Dla całej „Krainki“ serdeczności ode mnie i „Luci“!“

ZALOTY

Oj, nie żartuj, chłopcze, nie żartuj nie!
I powiedz mi prawdę, zaklinam Cię!
Powiedz cichutko, powiedz na uszko
Wszystko, co szepce Twoje serduszko.

Wiedz, że nie lubię Twej nieśmiałości,
Ani też serca Twego skrytości,
Bo i tak dawno sama odgadłam,
Że Twoje serce — tylko ja skradłam!

Więc chłopcze luby, chłopcze mój złoty,
Dalejże żwawo, dalej w zaloty!
Spójrz w oczy śmiało Twojej dziewczynie
I pieśń miłości niech z ust Twych płynie.

Kocham Cię dziewczę, oj kocham szczerze
I tylko Twemu sercu uwierzę!
Bo ono szczere i czyste jak łza,
Więc mi najmilszą będzie miłość Twa!“

L. Górnicka.

ZAPEWNIAM CIĘ!

„Słodka Maruszka“. Co już mam z Tobą zrobić, Mały Smyku, muszę Cię czym prędzej zapewnić o mej pamięci dla Twojej wymownej osóbki (wymowna, że potrafisz przeforsować swoje życzenia) i przedrukować te niecierpliwe komunikaty. A więc do pracy!

„Halo! Kolego „Eł-ka“ — ślę Ci moc serdecznych pozdrowień i rzucam wesołe: bywaj! Nie zasklepiaj się proszę w swym bólu — pocóż być tak bezgranicznie smutnym? Uśmiechnij się i poświęć mi jaki maleńki wierszyk. Pa! Zobaczymy się wkrótce.

A Ty „Romantyczny Śpiewaku“ — kiedy zawitasz do mego miasteczka? Przyjm pozdrowienie. — Od kogo, wiesz — prawda?

„Słodka Maruszka“ — to ja, poznana przypadkowo i niedawno dziewczynka. Przyjedź

kiedy, bo i ja wybieram się niezadługo w Twe strony. Kto pierwszy?

Panu Alojzemu Mazanemu z Gąsawy przesyłam podziękowanie za pamięć!

Wszystkim „Krainiakom" moc uścisków i serdeczności przesyła stara znajoma".

MATCZYNE PRAGNIENIA

Już rok dwudziesty minął od tej chwili,
Jak „pękło" serce ojca — żywiciela,
Jak go na zawsze do grobu złożyli...
Dziś wiem, że sterczy tam Krzyż Zbawiciela...

Często, gdy wspomnisz, Matko, te godziny,
Godziny żalu, boleści, rozstania —
Płaczesz, bo odszedł opiekun jedyny...
Lecz nie rozpaczaj, dość już Twego łkania!...

Wszak nie zostałaś sama, opuszczona,
A choć są ludzie, którzy Tobą gardzą,
To ludzi takich jest ilość znikoma...
Przy tym masz syna, on Cię kocha bardzo!...

Pragnęłaś wszakże, Matko, zacna, miła,
Bym kroczył zawsze najuczciwszych drogą,
By dobroć moja przykładem świeciła...
Czyż ludzie na mnie dziś narzekać mogą?

Matko, spełniły się Twoje pragnienia!
Mówiąc: „To dobry syn", czy nie masz racji?
Przeszłość ma była spokojna, bez cienia,
Przyszłość też będzie bez kompromitacji...

Ja się przed każdą złą siłą uchronię
I nie zbuntują mnie ludzie złośliwi...
Więc zbliż się, Matko, przytul moje skronie
I bądźmy nadal weseli, szczęśliwi!

Mieczysław Grzegorski.

WOLAŁABYM!...

„Irek". Dawno już nie miałam dłuższego listu od Pana, a także rozwiązania „Chwili zastanowienia" jakoś rzadziej nadsyłasz. Dlaczego?

Za życzenia, nadesłane mi z okazji Zielonych Świąt serdecznie Panu dziękuję, Przyjacielu Miły! Wiem, że nigdy nie zaniedbujesz dowieść mi swej pamięci, ale jednak wolałabym, abyś czasem porozmawiał ze mną w stylu mniej telegraficznym. Czy zgoda?

Myślę też, że weźmiesz udział w zjeździe „Krainiaków" i w tej myśli rzucam Ci wesołe „bywaj"!

CO BĘDZIE?...

„Sztubak spod lasu". Dziękuję za nadesłanie adresu, lecz równocześnie zaznaczam, że raz już wysłałam list dla Pana na poste restante i zwrócił się, jako niepodjęty w terminie. Dlatego to teraz radzę Panu zgłosić się jak najszybciej po odbiór.

A co będzie z ewentualnymi listami, jak Pan pojedzie obozować w górach?

Czekam informacji i przesyłam Panu pozdrowienia!

CZY PAMIĘTACIE?

„Pell". Otóż przeczytajcie sobie, Drodzy „Krainiacy", poniższy list starego „Krainiaka" i stwierdźcie, czy go jeszcze pamiętacie.

Sprawę prenumeraty załatwiłam w naszej administracji. Przesyłam Panu moc pozdrowień!

„Czy będzie Pani aż tak dobrą i przyjmie z powrotem zbłąkaną owieczkę, a raczej marnotrawnego syna, jakim jestem ja, to jest dawny „Pell", który od przeszło półtora roku odszedł od „Krainki", a teraz zatęsknił i pragnie powrócić?

Mieszkam od kilku lat w Grudziądzu, gdzie mam bardzo dobrą posadę, dużo wygód tak, że brak mi tylko kogoś co pomógłby mi zabijać nudy w wolnych chwilach. Posiadam własny motocykl i już niedługo pewnie wybiorę się do.... Żnina, aby zobaczyć wreszcie Panią Zosieńkę.

A również prosiłbym wszystkie Czytelniczki z okolic Grudziądza, które pragnęłyby poznać dawnego łobuza (dziś już bardzo zrównoważonego mężczyznę) — aby napisały, a bardzo chętnie je odwiedzę na swym stalowym rumaku. A może któraś z Sympatyczek zgodziłaby się spędzić ze mną wakacje w górach, w miesiącu lipcu? Ciekawy jestem, która z odważnych pierwsza chwyci za pióro i skreśli kilka słów. Odpowiem na pewno kilometrowym listem.

Pozdrawiam całą „Krainę"!"

DZIĘKUJĘ!

„Przybłędzie Leśnemu" ogromnie serdecznie dziękuję za pozdrowienia, nadesłane nam z Worochty. Niemniej monituję go gorliwie o napisanie nam bardzo, bardzo długiego listu. Pragniemy się dowiedzieć, czy dużo wrażeń i odpoczynku dała Panu Worochta i czy długo tam pozostaniesz?

Proszę mocno się opalić, zażywać dużo świeżego powietrza i wody i wrócić wypoczęty i pełen werwy, tudzież humoru!

MIEJ „DOBRĄ FORMĘ!"

„Młody Orzeł" zasyła nam serdeczne pozdrowienia z szybowiska.

Dziękuję Ci, Drogi Nasz Przyjacielu, za te pozdrowienia, dowodzące Twej pamięci o nas i wzajemnie zapewniam Cię w swoim i „Krainiaków" imieniu, że cieszymy się z każdego Twego nowego wzlotu na takim to a takim szybowcu, „komarze", czy innej „wronie".

Czuj się wspaniale, miej zawsze „dobrą formę" i pisz!

JESTEM PEWNA!...

„Płacząca Brzoza". W myśl listu posłanego Pani onegdaj, przyjmuję Panią w poczet członków naszej „Rodzinki" z życzeniem serdecznym, abyś czuła się w niej, jak w najbardziej własnej, której zresztą nie masz!

We mnie ma Pani już dziś najżyczliwszą przyjaciółkę i proszę mi wierzyć, że odtąd zawsze będę gotowa służyć Jej swą radą i moralną opieką. Jeżeli oczywiście będziesz jej potrzebowała!

„Krainiakom" zaś mocno przemawiam do serca, aby otoczyli nową swą „Siostrzyczkę" jak największą życzliwością i dobrocią. Wiem, że to umiecie i dlatego jestem pewna, że dacie nowej „Krainiance" prawdziwy ekwiwalent za zawody i przykrości, których doprawdy nie szczędziło jej życie.

Nasza „Krainka" ma dla tej zbolałej i zmęczonej walką duszy być ukojenia źródłem. I nie wątpię, że nią będzie!

Posyłam Pani serdeczny uśmiech i oznajmiam, iż czekam na następny list!

WSZYSTKO W PORZĄDKU!

„Kartusz". Dziwi mnie stanowisko, jakie uznał Pan za stosowne obrać po moich słowach, skierowanych do niego za pomocą „Krainy". Znaczy, że ma Pan powód do ukrywania swego adresu? Proszę przyjąć do wiadomości, że ja mam w takim razie mniejszy do poznawania tego, co Pan pragnie ukryć. Potrzebny był mi tylko o tyle, że miałabym kłopot z listami, które niewątpliwie byłyby wpłynęły dla Pana. Lecz ujął mi Pan tego kłopotu i teraz jest wszystko w porządku.

Wierszyk na odwrocie listu ma niezły rytm i rym. Szkoda, że zbyt krótki i lapidarny, bo byłabym go zamieściła w „Krainie".

Pozdrawiam Pana!

Teczka Wujka Janusza

CZEKAM!...

„P. M. Grzegorski". Dziś dałem do przedrukowania w „Krainie" wiersz Pana p. t. „Matczyne pragnienia". Wierszyk ma dużo moralnego sensu, a jego forma jest zupełnie dobra.

Proszę i nadal pisać tak fortunnie, a ponadto, o ile możności, więcej, bo stwierdzam że dawniej był Pan gorliwszy w komponowaniu. Prawda, że mam słuszność?

Zatem czekam na owoce mojej zachęty i przesyłam Panu mocny przyjacielski uścisk dłoni!

ZAKLASYFIKOWAŁEM DO DRUKU

„Lenka". Wierszyki Pani są wcale gładkie, więc dwa z nich zaklasyfikowałem do druku. Jeżeli popracuje Pani intensywniej, to z czasem będę miał z Pani pociechę. Zatem proszę gorliwie zabrać się do pracy i w najbliższym czasie przysłać mi nową porcję wierszyków.

Posyłam Pani serdeczne pozdrowienia!

PRZEDRUKOWAŁEM

„Kalina". Ostatni wierszyk Pani wręczyła mi p. Zofia z prośbą o wydanie oceny.

Z przyjemnością mogę Pani donieść, że wierszyk podobał mi się, przeto po dość nieznacznych poprawkach przedrukowałem go poniżej. Pozdrawiam Panią serdecznie i oczekuję nowego transportu dobrych wierszyków.

TWOJE OCZY

Od chwili rozstania godziny liczę
i błądzę myślami w krainie nocy.
I widzę blisko oczy tajemnicze —
znów się poddaję ich zwodniczej mocy.

Znów kuszą głębią przepastną, uroczą —
znów budzą przedziwne pragnienia — tęsknoty
chwilami figlarnym spojrzeniem się droczą,
migoce w nich wówczas śmiechu odblask złoty.

Lecz wiem — pryśnie złuda — Twoje oczy
w dali —
majaczą wspomnieniem — niby szary świt.
Twoje oczy porwie nowych wrażeń fala —
Ktoś inny zapali w nich miłości znicz.

„Kalina".

BIEG LAT

Czasem nadejdzie taka chwila,
Że człowiek chciałby zbawić świat.
Chociaż sam wiekiem się pochyla —
Paraliżować chce bieg lat.

Byle najdłużej na tej ziemi
Wpatrywać się w oblicze słońca,
Wzrok sycić grą promieni
I żyć na wieczność, bez końca.

Tymczasem lata płyną falą
I nic nie zdoła wstrzymać ich.
Przyjdą i szybko się oddalą —
Zostanie miraż przeżyć tych.

Tadeusz Rawicki.

MARZENIA!

Cisza! — Ty myślisz. — W twojej wyobraźni
Wirują sceny z przeszłości i w przyszłość.
Widzisz, raz ciemniej, a raz znowu jaśniej,
Tak jak na dłoni.

Marzysz — i myślisz, dlaczego odeszła
I czemu szczęście, jak bańka gdzieś prysło?
Wołasz: „Gdzie przeszłość?" — „O, gdzie
moja przeszłość?" —
W uszach ci dzwoni.

Chciałbyś powrócić do tego, co było,
Choć raz zobaczyć w życiu swym jej oczy
I raz jedyny napotkać na miłość —
Taką, jak dawniej. —

A może wróci, wróci choć na chwilę,
Szczęście wokoło znów blask swój roztoczy.
Może marzenie da ci znów idyllę —
Taką, jak dawniej— — — ?

„Te - Em".

IDĘ DO CIEBIE...

Idę do ciebie księżycową smugą,
przez okno kładę się na twe posłanie,
słyszę Twe dziwne wśród nocy wołanie,
nocy, co zda się nieskończenie długą.

Westchnienia jakieś piersi twe unoszą,
widocznie sen masz przykry, niewesoły,
nie otaczają cię bajki, anioły...
choć tęsknisz pewnie za złudną rozkoszą.

Tak jestem blisko — o, już głowa moja
schyla się, patrzą na ciebie me oczy,
za chwilę ramię moje cię otoczy...
całować będę cię, pieścić, bom twoja.

Wyczuwasz pewnie już pieszczoty chwile,
znika już troska, znika smutek blady..
śpisz słodko, chociaż usta moje kładę
na Twoich, o, i uśmiechasz się we śnie
tak mile.

Leenka.

Raj kobiet

Bawmy się w domu

Kawiarnia, dancing, restauracja stały się obecnie jedynym terenem życia towarzyskiego. Ludzie zapomnieli o możności spotykania się ze sobą na terenie własnego domu. Na usprawiedliwienie tego niezdrowego objawu, jakim jest zanik współżycia towarzyskiego, należy podkreślić fakt, że ludzi posiadających własne wygodne mieszkanie jest dziś ilość znikoma.

Warunki mieszkaniowe w Polsce zaczynają powoli, lecz systematycznie się polepszać, miejmy więc nadzieję, że z unormowaniem się ich nastąpi samorzutny nawrót do wskrzeszenia dawnych tradycyj.

Owszem, niektórzy ludzie są sceptycznie usposobieni do przyjęć domowych. Uważają, że to przede wszystkim kosztuje drogo, ponadto, jest męczące dla pani domu, a nierzadko przyczynia się do konfliktów towarzyskich, jeśli któryś dom robi zbyt wystawne przyjęcia w porównaniu z pozostałymi.

Lecz, czyż ludzie spotykają się wyłącznie po to, aby dobrze i za darmo zjeść? A czemu, wobec tego kawiarnia zawdzięcza dziś swe powodzenie, jeśli nie wrodzonej naturze ludzkiej współżycia z innymi ludźmi?!

„Człowiek jest stworzeniem towarzyskim“ — prawda to stara, jak świat. Toteż nic dziwnego, że wymiana myśli z otoczeniem jest tak potrzebna dla ludzkiej egzystencji, jak woda, powietrze, sen...

A młodość jest tak żądna zabawy, tańca, wesołości. I trzeba dać ją młodzieży i to w najzdrowszej formie — w domu.

Niechaj panie domu nie uchylają się od urządzania u siebie skromnych wieczorków dla swych córek i synów. A wysilać się na przyjęcia nie trzeba. Kilka tac z tartinkami, barszczyk czerwony w filiżankach oraz bigos na gorąco zastąpią znakomicie wystawne kolacje. Taca pączków, faworków, czy kruchych ciasteczek i jako napój chłodzący, lemoniada cytrynowa, czy pomarańczowa, będą doskonałym „slodkim“ uzupełnieniem kolacji.

Dziś do urządzenia takiego przyjęcia nie może nawet stać na przeszkodzie brak fortepianu, który dawniej był prawie w każdym, zamożniejszym domu, bo zastąpi go z powodzeniem patefon, albo radio.

A więc bawmy się w domu. Bawmy się wesoło razem z naszymi dziećmi i nie pozbawiajmy ich przeświadczenia, w którym wyrośliśmy sami, że dom własny może być najmilszym ogniskiem radości.

HIGIENA I ZDROWIE

Kilka pożytecznych wskazówek dla kąpiących się

Kąpiel na powietrzu to rozrywka zdrowa i przyjemna, ma jednak tę smutną stronę, iż rok rocznie porywa ofiary. Licznych wypadków zatonięć nie można jednak przypisać bezpośrednio wodzie, miejsca bowiem przeznaczone na kąpieliska badane są przez odpowiednie czynniki miejskie, mają oznaczone mety do pływania, specjalne pogłębienia gruntu do nurkowania, mają strażników nadbrzeżnych, pilnujących i niosących pomoc, to też zdarzające się wypadki śmierci można przypisać nieostrożności i braku wszelkiego umiaru kąpiących się osób.

Celem uchronienia kąpiących się od nieszczęśliwych wypadków, zamieszczamy szereg przestróg, które każdy pływak, lepszy czy pośledniejszy, powinien zapamiętać w należytej ocenie życia własnego i cudzego.

1. Nie próbuj za pierwszym pojawieniem się na wybrzeżu opalić się na brązowo, bo możesz ulec porażeniu słonecznemu, a w najlepszym razie podrażnić boleśnie naskórek.

Opalać się trzeba stopniowo, kilka minut za pierwszym razem, zwiększając czas naświetlania za każdym następnym posiedzeniem. Nie bierz kąpieli słonecznej tuż po sutym posiłku.

2. Nie przeceniaj swych zdolności pływackich. Jakkolwiek potrafiłeś ub. roku przepłynąć milę jeziora, niechaj ci się nie zdaje, że możesz wyczyn ten powtórzyć z powodzeniem za pierwszym dorwaniem się do wody. Dla własnego bezpieczeństwa nie wybieraj się na przepłynięcie dłuższego dystansu w pojedynkę. Postaraj się o towarzysza, któryby płynął łódką przy tobie. Dla wypróbowania swych zdolności pływackich obierz kierunek wzdłuż jeziora, skąd szybciej i pewniej nadejdzie pomoc w razie, gdy siły cię opuszczą.

3. Nie zanurzaj znienacka w wodzie swych towarzyszy kąpieli. Takie przykre żarty nieraz już sprowadziły skutkiem nagłego przestrachu atak sercowy i przyprawiły ofiarę niewczesnych dowcipów o śmierć.

4. Widząc strażnika nadbrzeżnego ratującego osobę tonącą, nie śpiesz mu z niewczesną pomocą. Miej w pamięci, że człowiek ten trenowany jest w ratownictwie, inaczej nie powierzono by mu tej ważnej placówki. Wścibstwo twoje w tym wypadku może jeno przydać kłopotu strażnikowi, gdy sam ulegniesz przewadze żywiołu.

5. Nie posługuj się gumowymi przyrządami do pływania, jeżeli bowiem wypłyniesz na głębię, podtrzymywany owym przyrządem, a w gumie nagle powstanie pęknięcie i ujdzie z niej powietrze, niefortunny pływak znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

6. Nie nurkuj, nie znając głębokości wody, ani jakości dna, na którym mogą znajdować się odłamy kamieni lub pnie drzew.

7. Nie obrzucaj piaskiem swych towarzyszy zabawy. Piasek w oczach i uszach sprowadził niejedną chorobę tych ważnych organów. Nie graj w piłkę, gdy na wybrzeżu jest dużo ludzi. Obecność piasku w twoim prowiancie, jeżeli go w ogóle zabierzesz, uzależniona jest od twego zachowania się. Odchodząc z plaży, pozostaw miejsce po sobie czyste. Zbierz skrzętnie papiery i wszelkie pozostałości.

8. Nie idź pływać, a choćby nawet kąpać się tylko, tuż po najedzeniu się. Poczekaj przynajmniej półtorej godziny. Przy pełnym żołądku kąpiący się może doznać silnych boleści, paraliżujących wszelkie ruchy, tak, iż łatwo może pójść na dno.

9. Nie trać panowania i zimnej krwi widząc się w niebezpieczeństwie takim, jak np. zaplątanie nogi w wodorostach. Nie wymachuj członkami, lecz zachowuj siły. Przy powolnych ruchach prędzej uwolnisz się ze zdradzieckiej uwięzi.

10. Nie pływaj w wodzie, po której krążą łódki motorowe i żaglowe, śmiga motorówki zniekształcić może głowę najlepszego pływaka.



1. Sukienka spacerowa z deseniowego jedwabiu do prania, przybrana aksamitkami. 2. Płaszczyk z flauszu lub jedwabnego płótna, z wypustkami. 3. Bardzo miła piżama plażowa. 4. Śliczna sukienka z dwóch materiałów: białego w niebieski deseń i niebieskiego w biały deseń. 5. Pijama plażowa z białego płótna. 5a Do kąpieli słonecznych należy sprawić sobie taki dwuczęściowy kostium. 6. Jednokolorowa spódniczka, bluzeczka w drobną kraciczkę i żakiecik w pasy — oto miły komplecik plażowy. 6a Można też, zdjąwszy spódniczkę, ukazać się w takim oto kostiumiku do kąpieli słonecznych. 7. Sukienka z lnu w kwietne desenie oraz odpowiednie bolerko. 7. Plażowe ubranko uszyte z dwóch rodzajów materiałów. 9. Sukienka do ogrodu lub na plażę. 9a Kostium plażowy.

Savoir vivre

Palenie tytoniu

Namiętni palacze twierdzą, że papieros jest tym jedynym przyjacielem, który nigdy nie zawodzi. Jak z każdym przyjacielem, tak również i z tym trzeba umieć postępować.

Nie będzie się tu roztrząsać sprawy szkodliwości nikotyny, kwestia ta bowiem należy do lekarzy. Można dać w tym względzie jedną tylko wskazówkę, odnoszącą się do dobrego tonu: powstrzymywać się od zbyt częstego palenia na wizycie. Ludzie, którzy nie wyjmują papierosa z ust, zapalając jednego od drugiego, a więc nałogowcy, mogą sobie palić w czterech ścianach swego domu, ile im się podoba, lecz przy ludziach powinni trochę powściągać swoją namiętność. Każdy bowiem nałóg, ujawniany przed ludźmi, jak zbytni pociąg do alkoholu lub do nikotyny, pozwala każdemu zarzucić nam brak opanowania, a więc brak taktu towarzyskiego. Z drugiej strony inny wzgląd, nie moralnej już, lecz czysto praktycznej natury, nakazuje nie zadymiać towarzystwa, w jakim przebywamy, bo przecież nie każdy lubi przesiadywać w pokoju, gdzie całe powietrze, meble, firany przesiąknięte są dymem. Istnieją ludzie, którym to szkodzi na zdrowiu, jednych bolą oczy, inni dostają ataków kaszlu. Ale nawet w gronie palaczy trzeba się zawsze starać nie być tym, który pali najwięcej, aby nie zwracać na siebie pod tym względem uwagi.

Inna jest rzecz, że państwo domu, choćby sami nie rozumieli przyjemności zaciągania się dymem, powinni się zlitować nad palącymi gośćmi i pozwolić im od czasu do czasu sięgnąć po papierosa. W domach gościnnych i zasobnych, papierosy dla gości są zawsze pod ręką, choćby nawet gospodarstwo sami nie palili. Można się jednak wymówić od zaproponowanego papierosa i palić swoje, nie ma w tym nic obrażającego, jeśli się jest przyzwyczajonym do określonego gatunku tytoniu. W ogóle palacz powinien sobie wziąć za zasadę, żeby zawsze mieć przy sobie papierosy. Nie będzie uchybieniem towarzyskim, jeżeli poprosi się gospodarstwa lub kogoś z obecnych o papierosa, ale nie powinno to wchodzić w stały zwyczaj. W tym miejscu należy zaznaczyć, że nie zabiera się nikomu ostatniego papierosa, choćby go częstujący uprzejmie proponował; nawet gdy się widzi, że częstujący ma ich tylko dwa — trzy, lepiej się wymówić i powstrzymać od palenia, będzie to oznaką delikatności.

Jeśli się przychodzi do domu, w którym gospodarstwo nie palą, a wie się, że im dym szkodzi, trzeba powstrzymywać swoją chęć, można co najwyżej skrócić wizytę. Tak samo nie pali się przy odwiedzaniu chorych, którym bardziej niż komu innemu potrzeba świeżego powietrza.

Na proszonym przyjęciu, przy którym do dyspozycji gości oddane jest kilka pokoi, trzeba się spytać, w którym z nich wolno palić. Nie wchodzi się nigdy z papierosem w ręku do sali tanecznej, do buduaru lub do sypialni, tylko w tym wypadku, o ile się jest do tego upoważnionym. Znajdując się w cudzym domu, nie trzeba zapominać o tym, by przed sięgnięciem po papierosa zapytać gospodarstwa, czy wolno palić.

Ponieważ spośród 100 kobiet przynajmniej 75 nie gardzi papierosem, mężczyzna, zapalając sam, może przed tym zaproponować papierosa swej towarzyszce. Jej rzeczą jest przyjąć lub nie, ale nie ma powodu do upatrywania w takiej propozycji czegoś obraźliwego. Nie jest też dowodem taktu, o ile kobieta mówiąc, że nie pali, zaznacza przy tym w ostry sposób, że uważa to za wstrętne przyzwyczajenie. Takim powiedzeniem stawia się w kłopotliwą sytuację, bo nuż się okaże, że inne obecne przy tym kobiety sięgną po papierosa, albo, że żona częstującego jest namiętną palaczką! Krytykę postępków ludzkich należy w tym, jak w każdym innym wypadku, zachować dla siebie.

Młode panienki, tym bardziej podlotki nie powinny pokazywać się przy ludziach z papierosem. Nadaje to im charakter wyzywający i smutno świadczy o domowym wychowaniu. Uczniowie szkół nie palą dlatego chociażby, że im tego wzbrania regulamin szkolny. W ogóle młodzież nie powinna zbyt wcześnie przyzwyczajać się do nikotyny, która jest bezwzględnie szkodliwa dla zdrowia, niszczy zęby i odbiera świeżość cerze.

Kobiecie nie uchodzi palenie na ulicy.

Wielu mężczyzn niepalących nosi przy sobie zapałki, a to ze względu na to, by móc podać ognia kobiecie. Dla palaczy rzeczą konieczną jest mieć stale przy sobie zapałki lub zapalniczkę. Podanie komuś ognia należy do tych drobnych usług, jakie sobie ludzie oddają. Obowiązują tu prawidła następujące.

Podając kobiecie papierosa, lub widząc, że sama go wyjmuje, mężczyzna powinien jej niezwłocznie podać ogień. Uważać należy przy tym, by nie osmalić jej włosów, nie upuścić tlejącej zapałki na sukienkę itp. Kobieta nie usługuje mężczyźnie. Jeśli sama zapala, a widzi, że sąsiad sięga po papierosa, może co najwyżej podać mu płonącą zapałkę do ręki nie zapalając mu jednak papierosa, gdyż było by to zbyt uprzejme... albo zbyt wyzywające. W stosunku do kobiet grzeczność nakazuje jej najpierw dać ognia sąsiadce, a potem zapalić samej.

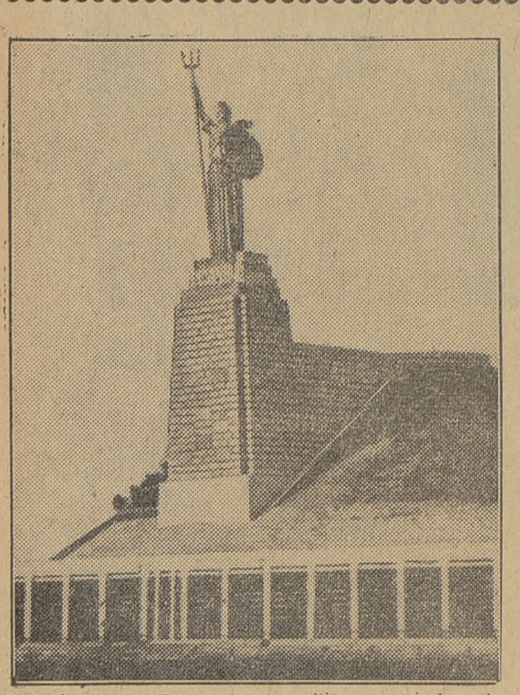
Z dwóch mężczyzn młodszy zazwyczaj zapala papierosa starszemu. Jeśli kto chce odpowiedzieć uprzejmością za uprzejmość, bierze zapałkę z rąk tego, kto mu ogień podaje i przytyka najpierw do jego papierosa, po czym zapala sam.

Otrząsanie popiołu i rzucanie niedopałków na ziemię świadczy o braku poszanowania dla domu, w którym się człowiek znajduje. Do tego celu służą popielniczki, które uważni gospodarstwo zawsze powinni przysunąć gościowi. O ile nikt o tym nie pomyślał, a gość nie widzi pod ręką nic odpowiedniego, lepiej strząsnąć popiół do własnego pudełka od zapałek i tamże włożyć niedopałek, niż gasić go, jak to niektórzy czynią, o podeszwę i rzucać na podłogę. Równie brzydki, aczkolwiek spotykany zwyczaj jest używanie zamiast popielniczki talerza, spodeczka itp., na których się jadło. Taki zaśmiecony talerzyk jest bardzo nieestetyczny, trzeba, by każdy zdał sobie z tego sprawę i nie żałował fatygi, by sięgnąć po popielniczkę.

Śmiecenie papierosami podłogi nie powinno mieć również miejsca w lokalach publicznych, jak w restauracji, gdzie zawsze można zażądać popielniczki, lub w palarni teatralnej, gdzie są do tego specjalne kosze.

Cygar nie pali się w obecności kobiet bez specjalnego upoważnienia, są bowiem panie, którym dym cygara szkodzi. Ma on przy tym tę właściwość, że wsiąkając w meble i portiery, pozostawia silny zapach na czas dłuższy.

Fajkę można palić na wycieczce, na ganku, lub balkonie, ale lepiej nie wchodzić z nią do pokoju. Tak samo należy powiedzieć o wszelkich papierosach, mających odrębny, mocny aromat, który może u nieprzyzwyczajonych wywołać ból głowy. Prosta delikatność podyktuje nam tego rodzaju względność dla towarzystwa, w którym przebywamy.



Pomnik, który Francuzi wystawili na pamiątkę wkroczenia pierwszych oddziałów angielskich, spieszących im z pomocą w czasie wojny światowej.

Ze świata

Oko ludzkie jest niezastąpione

W laboratorium technicznym Du Pont de Nemours, w którym pracujący tam uczeni posługują się najbardziej precyzyjnymi instrumentami jedna z najpoważniejsz. czynności laboratoryjnych dokonywana jest jednak przez oko ludzkie. Chodzi mianowicie o czynności dobierania kolorów i określanie, czy są one użyte we właściwym odcieniu. W tej dziedzinie najczulszy nawet aparat nie może zastąpić dobrze wytrenowanego oka ludzkiego, które potrafi odróżnić około 100,000 odcieni i kolorów. Jeżeli np. do butelki napełnionej żółtą farbą dodana jest farba czerwona w ilości równej jednej dwudziestotysięcznej części farby żółtej, to oko ludzkie może pochwycić odcień nowouzyskanego koloru i odróżnić go od poprzedniego. Istnieją ludzie, posiadający tak wytrenowane oko, iż rozróżniają przeszło 300 odcieni koloru białego i prawie tyleż odcieni koloru czarnego.

Sztuczne paznokcie

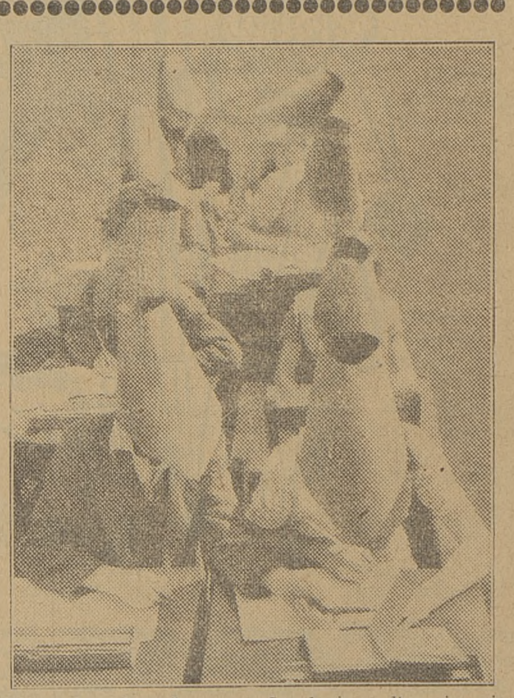
Inżynier z Sydney (Australia) wynalazł masę podobną do celuloidu, ale niezapalającą się, z której sporządził sztuczne paznokcie. Wynalazek jego został opatentowany i wszedł już w użycie. Sztuczne paznokcie we wszystkich kolorach i odcieniach zostają przyklejone do prawdziwych paznokci. Dziwaczna ta moda znalazła już oczywiście — uznanie elegantek w Ameryce i zapewne wkrótce przywędruje do Europy. Można więc spodziewać się, że w przyszłości wystawy sklepów z kosmetykami zdobić będą napisy: „Tu można nabyć paznokcie niepalne w najlepszym gatunku, wszelkich rozmiarów."

Ma szczęście do przygód

S. Arthur Collete, licząc 6 lat, doznał już tyle przygód, iż przeciętny człowiek nie dozna ich tyle, gdy przeżyje nawet lat 60.

Rok temu wyratowano go z tonącej łodzi na jeziorze Superior w pobliżu Bayfield. Następnie wyratowano go z płonącego domu, podczas którego spaliło się na nim ubranie nocne i popaliły się jego włosy. Nieco później spadł z troku i złamał sobie ramię. Później stracił mały palec u ręki w drzwiach samochodu.

Ostatnio został wyratowany od utonięcia, gdy wypadł z łodzi na rzece Brule. Wyratował go ojciec.



W parku św. Jana w Londynie odbywają się lekcje na świeżym powietrzu. Na zdjęciu dzieci w oryginalnych tekturowych kapeluszach, chroniących przed słońcem.

— A zatem, spytał, zwracając się ku mnie, to jest ta nieszczerość, o którą mnie pani oskarża! Widziała pani, jak całowałem Różę?

Zesztywniałam, ton jego słów zabolał mnie:

— Ta biedna dziewczyna zapewne nie liczy się... siostrzenica służącej!

Lecz on łagodnie zaprzeczył:

— Niech pani nie usiłuje być surową, mała Sabinko. Gdyby pani wiedziała jakie ja już robiłem przypuszczenia i jak mi jest teraz lekko, gdy wiem, iż to tylko myśl o Róży odsuwała panią ode mnie.

— Czy to za mało?

— Byłoby nawet za dużo, gdyby... gdyby to, co pani przypuszczała istniało naprawdę, ale ja pani pokażę...

— Coś innego, niż widziałam!

— Tak jeszcze więcej.

Podczas tej wymiany zdań, Blanka wyszła, sądząc zapewne, iż lepiej pozostawić nas samych w czasie tego upragnionego wyjaśnienia.

Jan Salvin, ująwszy mnie za ręce, usiadł u mych kolan na poduszce przed fotelem.

— Sabinko najdroższa, czy może pani na jakiś czas jeszcze obdarzyć mnie swym chwilowym zaufaniem, czy też żąda pani natychmiast wszystkich wyjaśnień, do których ma pani pełne prawo?

— Jeżeli te wyjaśnienia sprawiają panu trudność...

— Nie, przerwał mi. Nic nie może mi być trudnym dla pani, ale jestem zakochanym, który nie wierzy w swoje szczęście i chciałbym, aby pani miała na tyle zaufania do mnie, by móc mi powiedzieć: „Widziałam Różę w twoich ramionach, ale mówisz, iż nie powinnam się temu dziwić, ani nic podejrzewać, więc wierzę ci, ufam, choć nie rozumiem, bo mam zaufanie do ciebie"... Sabino, gdyby pani mi to powiedziała, nie ma pani pojęcia, jak byłbym szczęśliwy!

— Ufam panu, rzekłam cichym głosem, ale powinien pan pamiętać o tym, iż od dziesięciu dni wątpię i płaczę. Chciałabym powiedzieć to, o co mnie pan prosi, lecz czy zdaje sobie pan sprawę z tego, iż mimo mej woli, mam w duszy ranę, i, że, gdy pana nie będzie przy mnie, nadaremnie będę się chciała pozbyć tej prześladującej mnie myśli.

— Nawet gdybym pani powiedział, iż tego ranka, gdy pani widziała Różę w mych ramionach, rzuciła mi się ona na szyję, by mi podziękować za ułatwienie jej małżeństwa z pewnym urzędnikiem banku w Paryżu, którego rodzina nie chciała słyszeć o Róży?

— I to pan?...

— Dając jej mały posag, usunąłem wszystkie przeszkody.

Nie mogłam wyjść ze zdumienia.

— Więc ona wychodzi za mąż, wybąkałam zaskoczona.

(Dokończenie nastąpi.)

FRED ANGERMAYER

CZEK

NOWELA

Przekład H. Lindemanna

(Dokończenie.)

— Zapłacił... czekiem?... Aha!... Mam zwać policję?... zaraz kazać zaaresztować?! W porządku, panie Grant!... Niech pan zaraz przychodzi!... Powinien pan być tutaj w dziesięciu minutach!

Przyprowadź policjanta, Canaletto. Trzeba zaaresztować tego podłego oszusta.

— Ślicznie!... Aresztowanie! krzyknął roznosiciel gazet i w radosnym podnieceniu wytarł w czapkę brudną od soku malinowego rękę.

Charlie ani przez chwilę nie stracił spokoju. Zapalił cygaro, rozparł się w fotelu i spytał, jakby się nic nie stało.

— Więc nie zamierza pan kupić tego pierścienia, mister!

Mac Leav roześmiał się dziko i uderzył pięścią w stół.

Mac Leav rzucił słuchawkę i spojrzał wyzywająco na Pitta, który potrząsnął głową i rzekł lekko poirytowany:

— Co ten stary osioł chce z policją?... Przecież pierścionek został do centa zapłacony!...

Mac Leav zmienił się nie do poznania. Obleśny uśmiech zniknął z jego twarzy. Podparł się pod boki i krzyczał na cały głos:

— Pan jest podłym oszustem... Wykupił pan od Granta kosztowny pierścień i chce pan teraz sprzedać swój łup.

Gestykulując rękami, zbliżył się do Charlie'go. Przed składem zebrał się tłum ludzi. Włoski sprzedawca lodów, który przed interesem Mac Leave'go rozłożył swój interes, krzyknął do wnętrza:

— Co się stało, Mac!... Mam pomóc?

— Wie pan, miałem już do czynienia z różnymi draniami, ale takiej bezczelności jeszcze nie spotkałem... Wyłudził pan od nieświadomego Granta najwspanialszy jego pierścień i po godzinie przychodzi pan do mnie, by również i mnie nabrać... Jednak trafiła kosa na kamień... Ma pan pecha, a jakiego, to się pan zaraz sam przekona!...

W tej chwili przed składem zatrzymał się samochód: Wysiadł z niego Phil Grant z dwoma policjantami. W jednej chwili skład napełnił się ludźmi, którzy zaczęli Pittowi wygrażać pięściami. Jeden policjant chwycił Pitta za ramię.

— Nazwisko?

— Charlie Pitt.

— Zawód?

— Docent prywatny i kapitan rezerwy.

— Obywatel amerykański?

— Od urodzenia.

— Zamieszkały?

— Obecnie Nowy Jork, Lexington Square 11.

— Więc pan od tego tam pana — wskazał na jubilera — wyłudził pierścionek?

— Pan się myli. Kupiłem ten pierścionek za siedem tysięcy dolarów i zapłaciłem na miejscu czekiem.

— A dlaczego pan chciał ten pierścionek dwie godziny później sprzedać?

— Ponieważ mi się nie podoba!

Policjant przestał panować nad sobą i zaczął krzyczeć:

— Nie uważajcie nowojorskiej policji za tak głupią!... Powiem, dlaczego chcieliście sprzedać pierścień...

Blady jak ściana Grant wskoczył między nich i krzyknął piskliwym głosem: — Ponieważ czek nie ma pokrycia, on chce przez sprzedaż pierścionka dojść do gotówki.

— Zupełnie słusznie, syknął Mac Leav, lecz Mac Leav nie jest żółtodziobem i złapał ptaszka.

Tymczasem nadszedł trzeci policjant sprowadzony przez sprzedawcę lodów i chwilę później Charlie, mimo protestów, został okuty w kajdanki i wśród wrzasku tłumu obdartusów zapakowany do samochodu.

Inspektor najpierw przesłuchał aresztowanego. Potem uczynił rzecz najwłaściwszą: zatelefonował do Państwowego Banku w Filadelfii, aby stwierdzić, czy czek

Pitta posiada pokrycie. Bank niestety był już zamknięty, a ponieważ była sobota, Charlie przesiedział dwie noce i dzień w areszcie.

W poniedziałek rano o godzinie dziesiątej drzwi celi się otworzyły i wszedł inspektor ze słodko-kwaśnym uśmiechem na twarzy.

— Tak, panie Pitt, to był pech. Musi pan wybaczyć policji, lecz byliśmy zmuszeni pana zaaresztować... Jest pan wolny... pomyłka wyjaśniła się. Bank Państwowy w Filadelfii doniósł, że posiada pan gotówki dwieście tysięcy dolarów... Mister Grant może być bez obaw.

— W to wątpię, rzekł Charlie z uśmiechem, ponieważ teraz ja oskarżę pana Granta i niezbyt czystego pana Mac Leav'ego przed sądem o, o b r a z ę i s z k o d ę n a o p i n i i.

— Święty Patryku, wykrzyknął inspektor, gdyby przegrali ten proces, to może ich to dużo kosztować.

— Ja też tak sądzę, panie inspektorze, a właśnie na tym cała rzecz polega! Skąpiec Grant i lichwiarz Mac Leav wpadli w zastawioną przeze mnie pułapkę.

Inspektor mimo, że nie bardzo rozumiał co Pitt chciał przez to powiedzieć, roześmiał się jednak na całe gardło.

W trzy tygodnie później nowojorski sąd przyznał Pittowi sto tysięcy dolarów odszkodowania, które po połowie musieli zapłacić. Grant zemdlał w sali sądowej, a Mac Leav wpadł w atak furii i został za obrazę sądu skazany jeszcze na czternaście dni aresztu.

Charlie Pitt spełnił zadanie powierzone mu przez Klub Sprawiedliwych.

Obaj złoczyńcy, żerujący na biednych, zostali dotkliwie ukarani. A teraz nastąpiło zadośćuczynienie. Osiem tysięcy dolarów Charlie rozdzielił między pracowników obu firm, a za 92 tysiące wykupił wszystkie zastawy z brudnych rąk Mac Leav'ego. Radość biednych ludzi nie miała granic.

Teraz zaczęła się kampania prasowa przeciw obu lichwiarzom i od niepamiętnych czasów po raz pierwszy prasa nowojorska była zgodna w swej opinii, co do sprawy Pitta contra Grant i Mac Leav.

Zmieszała z błotem obu przedsiębiorców tak, że zmuszeni byli zlikwidować swe interesy.

Za doskonałe rozwiązanie swego zadania Pitt otrzymał od Klubu Sprawiedliwych odznaczenie w postaci „Złotej szpilki Klubu Sprawiedliwych". Nowy Jork został uwolniony od dwóch hien, żerujących na biednym ludzie.

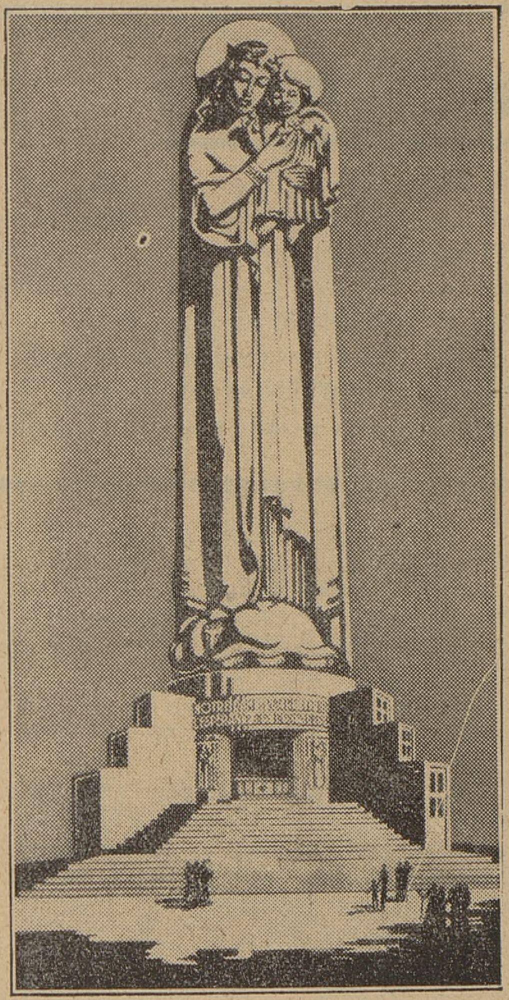
Czek na Państwowy Bank w Filadelfii leży jako jedna z najkosztowniejszych pamiątek w witrynie Klubu Sprawiedliwych w Nowym Jorku.

KONIEC

NINA ZUNFALÓWNA

W pogodny wieczór

Gdziekolwiek pójdziesz, gdzie popatrzysz, otoczy cię śpieszący się, rozradowany, obojętny lub smutny tłum ludzi. Każda najmniejsza cząstka tego tłumu ma swoje własne życie, ma swoje ja, które egoistycznie (człowiek bezwzględnie jest przed wszystkim egoistą) stawia na pierwszy plan. A więc jedni czują się dobrze w towarzystwie, śmieją się, są pełni życia i ruchu ,są zajęci dostarczaniem sobie podniet, aby zapełnić pustkę, która jest w nich — szukają ich tuż koło siebie — tak samo nisko, jak oni się znajdują. Są drudzy, którym już jest wszystko jedno, co się dzieje dokoła nich, snują się ulicami ze spuszczonymi głowami — mijają tłumy, światła, — światła, tłumy, jakby tego nie było — zapatrzeni znów we własne ja, we własne znudzenie. Tych już nic nie interesuje tu w życiu, a nie umieją podnieść głowy w górę i zainteresować się tym, co tam się dzieje — na pewno nawet zdziwiliby się, znajdując w sobie nagle zajęcie się czymś, ale nie spojrzą w górę. Są też i tacy, którzy poniewierani przez życie, nieszczęśliwi, zgarbieni od ciężaru życia bezradni wobec jego ciosów — idą lękliwie, obawiając się nowych razów życia, — oglądają się na wszystkie strony ostrożnie, tylko nie w górę — bo z tamtąd przecież o tej późno - jesiennej godzinie nie spadnie na nich grom. Pędzą więc tak wszyscy razem, a każdy gdzieindziej i nie widzą tego, na co patrząc, staliby się spokojniejsi i lepsi, cichsi i choćby na chwilę szczęśliwi. Bo prawdą chyba jest to, że piękno jest szczęściem, że oglądając coś pięknego, czujemy jakby cisza i dobro spływały na nas, jakby piękny obraz otwierał w nas wrota do jakiejś skrytki, w której jest uśpione Dobro i Szczęście. Ale jakże często lekkomyślnie omijamy te okazje, jakże długo nieraz wrota małej skrytki są zamknięte i człowiek jest tylko maszyną, manekinem, lalką. Tracimy naprzykład okazję, jeśli w taki cudny, późno-jesienny wieczór nie podniesiemy oczu w górę — nie obejmiemy oczyma przestrzeni przed nami. Bo tam jest zupełnie inny świat, aż dziwnie, jak tam jest inaczej. Z pośród świateł migających reklam, śpieszących ludzi, z pośród gwaru miasta jednym tylko ruchem głowy znajdziemy się w zupełnie innym świecie — w krainie ciszy zaczarowanej księżycowym blaskiem. Po głębokim lazurze nieba, usianym tysiącami gwiazd, które nam teraz wydają się dziwnie dalekie, płynie w srebrzystej swej poświacie jak w promiennej szacie z srebrzystych niteczek królewicz tej nocy — księżyc. Tam z góry zagląda swymi promieniami wszędzie, rozsrebrza wszystko, rozjaśnia — czyni wszystko tajemniczo wyraźnym. Rysują się mocno kontury domów, drzew i wieś na wysrebrzonym niebie, a światełka w oknach zdają się być uwięzionymi promieniami księżycowymi. A w dole płynie roztopiona, senna, srebrzysta masa, jak łuseczkami złotymi przykryta, lśni się, odbija promienie coraz to inną falą i płynie leniwie, jakby pieszczot kochanka nocy spragniona, zmienna, rozedrgana — lawa srebrzysta.



W Lyonie (Francja) rozpoczęto budowę największego na świecie (33 m.) pomnika Matki Boskiej.

A ponad nią pięknymi harmonijnie wygiętymi łukami wznosi się koronkowe belkowanie mostu. Promienie księżycowe subtelnie podkreślają piękno jego budowy, nie omijają żadnych szczegółów.

Przez most płynie wąż żelaznych wagonów, z mnóstwem księżycowych światełek w oknach, rysuje się przedziwnie na lazurze nieba — płynie, jak jakieś tajemnicze zjawisko, jak kometa i po chwili wciąż malejąc, znika, rozpływa się w perłowej dali.

I znowu domy, most, śpiąca złocista rzeka — i ja, to ludzie gdzieś znikli. Jakby z promieniami księżycowymi spływa na mnie cisza, cisza przestworzy, spływa ukojenie, spływa srebrnopióry anioł piękna i otwiera wrota do skrytki Dobra i Szczęścia. O, jak bardzo pragnie się wtedy coś działać, coś dać światu, pokazać to piękno, dać i innym możność pochłonięcia promiennej mocy Wszechświata, do nowych pięknych czynów. Stajemy się wtedy inni, egoizm, jakby wrzód radowy, niszczony przenikliwymi promieniami miesięcznymi — usuwa się, odsłaniając tyle możliwości pracy, tyle źródeł radości, tyle zainteresowań, tyle spokojnego szczęścia! Żeby ludzie zechcieli popatrzeć w górę, to mieli by to wszystko, ale nie chcą. Oni nie wiedzą, ile mocy mogliby zyskać, ile w nich jest jej niewyzyskanej, lub na złe obracanej — nie wiedzą, że trzeba szukać piękna i pragnąć go — a wtedy je znajdziemy i wtedy będą się działy cuda. I wtedy powstanie w nas miłość i ona będzie działać za nas dla dobra innych bo to jest właśnie przeciwne uczuciu egoizmu. Patrzmy więc w górę, poddajmy się sile przestworzy!

ROBERT MAGILL

Panienka, komar i policja

Nowela filmowa

— Bardzo żałuję, proszę pani, rzekł sublokator, Wacław Karski, nie otrzymałem jeszcze posady, lecz mam nadzieję...

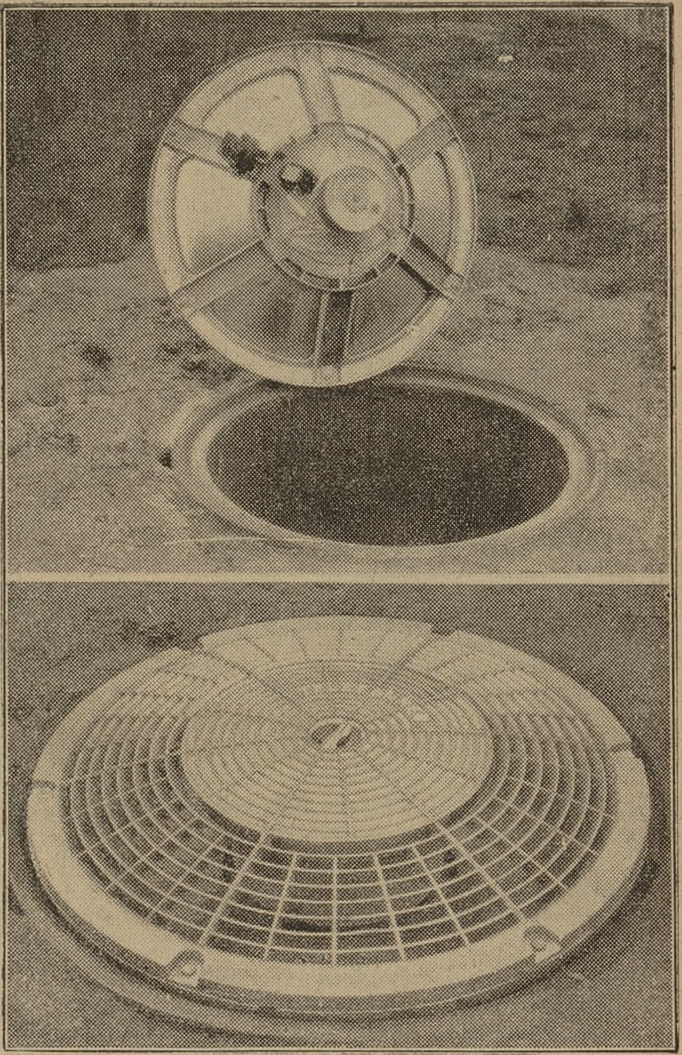
— Ja już nawet tego nie mam — odparła gospodyni. — Zamiast starać się o posadę i płacić komorne, spędza pan czas na bezczynnym siedzeniu w domu i wpatruje się w piec, niczem sroka w gnat. Jeżeli dzisiaj do godziny szóstej nie będę miała pewności, że pan zapłaci, to wyrzucę pana na ulicę.

— Ależ, proszę pani... — zaczął Wacław. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem i jedyny obraz ze ściany spadł na ziemię.

Wacław siedział przybity i zmartwiony, a w oczach jego taiła się rozpacz.

Wspomniany przez gospodynię piec, był zbudowany z kafli, a w rogu przy samej podłodze widniało nazwisko właściciela fabryki: Jan Sobecki.

Sobecki? To nazwisko Wacław znał. Przecież to jego kolega szkolny i uniwersytecki, a pozatem dłużnik z owych czasów. Wacław pożyczył mu wtenczas jakąś drobną sumę. Gdyby teraz skomunikował się z Sobeckim, to może mógłby zaspokoić gospodynię. A może nawet Sobecki pomógłby mu znaleźć posadę.



W Niemczech dokonano pomyślnych prób z megafonami, umieszczonymi bezpośrednio na ziemi.

Wacław wsadził kapelusz na głowę i wyszedł na ulicę.

Jednak przypomniał sobie, że nie zna przecież adresu swego kolegi, ani nie posiada pieniędzy na tramwaj. Ale wpadł na pomysł. Adres znajdzie w książce telefonicznej i będzie mógł zatelefonować do niego. Może Sobecki prześle mu telegraficznie pieniądze, gdy się dowie, że Wacławowi tak źle się powodzi.

Stanął przed drzwiami celi telefonicznej i szukał nazwiska pod literą S. gdy jakaś panienka prześliznęła się koło niego, chwyciła słuchawkę i wyrecytowała numer.

— Przepraszam — odezwał się Wacław — ale...

— Przecież nie mogę godzinami stać i czekać aż pan ukończy swoje studia literackie. Może pan zamknie drzwi, gdyż mam ściśle prywatną rozmowę.

Posłusznie zamknął drzwi, poczem wszedł do sąsiedniej celi. Na aparacie widniał napis: „Nieczynny". Był więc zmuszony czekać. Wyszedł na ulicę, pobrzękując w kieszeni ostatnimi piętnastoma groszami. Nagle przypomniało mu się, że znowu może go ktoś ubiec. Wrócił więc do swego poprzedniego stanowiska przed celę.

Przez okienko obserwował panienkę, która go ubiegła. Widział czarne włosy i ciemnoniebieskie oczy. Była gustownie ubrana i miała zadowolony z życia wyraz twarzy. Jej cera przypominała brzoskwinię wycałowaną promieniami słońca. Byłby jeszcze dłużej patrzał, gdyby panienka w tej chwili nie wyszła z celi. Z grzeczności nie śmiał nawet spojrzeć za odchodzącą, lecz w tej samej chwili jakiś pan wszedł do celi.

Nie tracił już czasu na obserwację tego intruza i zaledwie ten skończył, Wacław wisiał już przy aparacie.

— Czy pan Sobecki? Nazywam się Karski. Chciałbym mówić z panem Sobeckim.

— Pana Sobeckiego nie ma — odezwał się jakiś łagodny głos.

— A kiedy wróci? — spytał Wacław, czując, że podłoga zaczyna chwiać się pod nim.

— Nie wiem. Wyjechał na zakup kilku piecy. Dziesięć minut temu wyszedł.

— — — — — — — —

Panienka z brzoskwiniową twarzyczką zostawiła w celi gazetę. Wacław wziął ją i jak to zwykle bywa w beznadziejnym położeniu, zapomniał o wszystkim i zaczął czytać.

Był to „Kurjer Poznański", Wacław zaczął czytać ogłoszenia o sprzedaży parcel podmiejskich, gdy naraz w oko wpadło mu tego rodzaju ogłoszenie:

Sekretarz
ze znajomością rysownictwa technicznego od zaraz. Dobra pensja.
Zgłoszenia: Rojec — Murna 13 m. 5.

Pod wskazanem adresem znajdował się normalny dom czynszowy. Wacław był właściwie studentem politechniki i nie można powiedzieć, ażeby nic nie umiał. Jednak jego pomysły dla braku kapitału, przepadały marnie.

Już nie miał zamiaru czekać do jutra, w obawie, że inni mogą go uprzedzić.

Znalazł drzwi, na których widniał napis:

„A. Rojec, rzeczoznawca w dziedzinie wynalazków."

W poczekalni czekało już czterech panów, którzy przy wejściu obrzucili go badawczym spojrzeniem.

Usiadł, by zaczekać na swoją kolej. Miał nadzieję, że żaden z jego poprzedników nie uzyska posady, dopóki on Rojcowi nie przedstawi swej oferty. Właściwie to oni nawet nie wyglądali na takich ludzi, którzy poszukują posady.

Nagle otworzyły się drzwi, zza których dolatywał stukot maszyny do pisania, a na progu stanął wysoki, silnie zbudowany mężczyzna.

— To czekanie jest dla panów bezcelowe — odezwał się szorstko — moje biuro zamyka się o godzinie piątej i obecnie nie mam zamiaru z panami rozmawiać. Proszę wobec tego opuścić moje mieszkanie.

— Ależ... wyrwał się jeden z obecnych.

— Proszę mi nie przeszkadzać. To jest bezcelowe. Może jutro rano. Teraz koniec.

Wszyscy czterej powstali:

— Czy to pańskie ostatnie słowo? — spytał poprzedni mówca.

— Tak! — odparł Rojec.

— Wobec tego pójdziemy, rzekł jeden z przybyłych — lecz ja nie jestem przyzwyczajony do tego rodzaju traktowania.

I wszyscy czterej wyszli. Wacław chciał pójść ich śladem, jednak przypomniał sobie, że jego położenie jest wprost beznadziejne. Jeżeli dzisiaj nic nie załatwi, to gotów znaleźć się bez dachu nad głową.

— Panie Rojec! — odezwał się, gdy ten już wchodził do swego pokoju.

— Czego pan jeszcze chce? — burknął — słyszał pan przecież co tamtym powiedziałem. Czy to panu nie wystarcza? Przecież do jutra nie ucieknę.

— Wiem o tym — rzekł Wacław — lecz moje położenie jest beznadziejne. Muszę do domu wrócić z czymś pewnym".

— Ile pan żąda? Parę dziesiątek?

— Czego parę? — spytał Wacław zdumiony.



W czasie upałów na plaży szczególnie dobrze smakują cukierki orzeźwiające

— Wobec tego parę piątek — rzekł Rojec. Proszę, niech pan bierze. Czeku panu nie daję. A teraz, proszę zrób mi pan tę przyjemność i zobacz jak wygląda ta kamienica z zewnątrz.

Po tych słowach wcisnął Wacławowi coś do ręki.

Drzwi zatrzasnęły się. Wacław osłupiały oglądał monety, które trzymał w ręku. Na każdej był napis: pięć złotych.

Wypadało teraz odejść czym prędzej nim Rojec wróci, by odebrać te pieniądze. Wacław wyszedł.

— — — — — — — —

Znalazł się na ulicy, nie znajdując klucza do rozwiązania tej zagadki. Rojec filantropem na pewno nie był, a znowu nie wyglądał na wariata. To wszystko wydawało mu się bardzo podejrzane. Z pewnością monety były fałszywe! Trzeba się ich czym prędzej pozbyć. Najpierw Wacław postanowił napić się kawy. Wszedł do poczekalni dworca i zamówił sobie dzbanek kawy, której smaku już nie pamiętał. Do tego kazał sobie przynieść górę placka. Myślał, że właśnie teraz, o godzinie szóstej gospodyni czeka, ażeby go wyrzucić z mieszkania.

Skoro się najadł, zapłacił i wyszedł przed dworzec, ażeby przyjrzeć się ludziom. Jakiś pan, oddawszy walizkę do przechowalni, wpadł na Wacława. Był to Rojec.

— Pan tutaj? Pan mnie śledzi z pewnością? — i brutalnie odepchnął Wacława. A potem zamiast iść dalej swoją drogą, udał się w przeciwnym kierunku.

Wacław spojrzał gniewnie za nim.

Zdaje mi się, że nie będę starał się o posadę u niego. Na pewno długo byśmy w zgodzie nie żyli z uwagi na jego temperament.

W tej chwili spostrzegł kawałek papieru zgubiony przez Rojca. Podniósł i stwierdził, że był to kwit z przechowalni bagażu. Widział właśnie, jak Rojec opuścił halę dworca.

Zawołał i pobiegł za nim. Rojec usłyszał wołanie i przyspieszył kroku.

Wacław przeciskał się przez tłum za jego śladem, jednak na próżno. Spostrzegł Rojca na środku jezdni. Potem znikł za przejeżdżającym autobusem.

Nagle rozległ się krzyk, zgrzyt gwałtownie włączonych hamulców. Widocznie ktoś wpadł pod samochód. Od razu utworzyło się zbiegowisko i zatrzymało Wacława w pościgu. Chwilę jeszcze szukał wzrokiem Rojca, jednak na próżno.

„Oddam mu kwit w biurze."

Udał się na ulicę Murną nr. 13.

Była godzina siódma i gdy otworzył drzwi, jakaś panienka szykowała się właśnie do opuszczenia biura. Panienka z celi telefonicznej!

— To pani? — krzyknął.

— Odpowiadam: tak. Z drugiej strony stwierdzam, że to pan.

— Chciałem mówić z panem Rojcem

To nie tylko pan. To życzenie wyraziło już dużo ludzi. Nie ma go. A czego pan sobie życzy?

— Przybywam w sprawie posady sekretarza, w myśl ogłoszenia, w „Kurierze".

— Przecież to już nieaktualne. Ja tą posadę objęłam i pracuję od czternastu dni.

— Od czternastu dni? A przecież czytałem ogłoszenie w gazecie, którą pani zostawiła w celi telefonicznej.

Roześmiała się.

— Przecież to gazeta sprzed trzech tygodni. Niech pan spojrzy na datę. Bardzo żałuję, lecz ponieważ sama jestem zmuszona pracować na życie, więc nie mogę z posady zrezygnować na pańską korzyść.

— A więc, ja... zaczął Wacław.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł komisarz P. P. z dwoma posterunkowymi.

— Panie Rojec! — zwrócił się komisarz do Wacława. — Oto nakaz aresztowania. Oszustwo i obawa matactwa. Wszystko, co pan powie, zostaje zaprotokółowane.

— Ależ ja wcale nie nazywam się Rojec — odezwał się Wacław.

— To będzie miał pan możność później wytłumaczyć — odparł spokojnie komisarz. Przypuszczalnie posiada pan więcej nazwisk. Lepiej będzie, jeżeli pan dobrowolnie pójdzie ze mną. Również pani Nora Sawicka jako współwinna. Wszystko, co pani powie, również zostanie zapisane do protokółu i posłuży jako dowód przeciwko niej. Proszę za mną.

Umysł Wacława pracował błyskawicznie. O siebie się nie lękał. Mógł każdej chwili wykazać swoją niewinność, lecz ta kobieta była w tej całej sprawie niebezpiecznie zaangażowana.

Spojrzał na nią i uchwycił błagalne spojrzenie jej niebieskich oczu. Poczuł się rycerzem stającym w obronie księżniczki.

Wystąpił krok naprzód. Skoczył komisarzowi na nogi, rozbił lampę stojącą na biurku. Pokój zatonął w ciemności. Chwycił panienkę za rękę i wciągnął ją w głąb mieszkania. Zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Z drugiej strony policja zaczęła się dobijać.

Podbiegł do okna i wyjrzał na dwór. Na dole znajdowało się ciemne podwórko, a obok okna widniała wmurowana drabina pożarowa.

— Proszę, niech pani się zbliży — rzekł do swej towarzyszki. Tędy uciekniemy. Niech pani nie patrzy w dół.

Prawie przeniósł ją za okno, a potem sam wyszedł i zamknął okno za sobą. Na ulicy dawały się słyszeć gwizdki policjantów.

Zeszli po drabinie na podwórze, które leżało poniżej poziomu ulicy. Żadne drzwi nie prowadziły z niego do kamienicy, lecz Wacław spostrzegł otwarte okno parterowe.

— Tutaj wejdziemy — zadecydował. — Przypuszczam, że tam nie ma nikogo.

— Dobrze — potwierdziła Nora. Wskoczyli do pokoju i zamknęli okno za sobą.

— Jeżeli ktoś tutaj mieszka, to można mu wszystko wytłumaczyć.

Lecz w mieszkaniu nie było nikogo. Ani w sypialni, ani w jadalni, ani w kuchni, ani w komórce dla służącej.

Wacław pobiegł do korytarza i przez dziurkę od klucza spostrzegł, że w bramie stoi posterunkowy.

— Tędy uciekać? Niemożliwe!

W tej chwili trzy postacie zeszły z okna tą samą drogą, co Nora i Wacław, i po chwili weszły do innego mieszkania również przez otwarte okno.

— Dopóki nas nie znajdą, możemy tutaj pozostać, odezwał się Wacław. Chciałbym wiedzieć, kto tutaj zamieszkuje i gdzie lokatorzy obecnie przebywają.

Pozasłaniał okna, przekręcił kontakt światła elektrycznego i rozejrzał się po mieszkaniu. Jego towarzyszka z ciekawości kobiecej przeglądała wszystkie pokoje i odkryła w sypialni szafę.

— Właściwie — rzekła — moglibyśmy ubrać się w rzeczy lokatorów tego mieszkania i wyjść w nich na miasto, jakbyśmy o niczym nie wiedzieli. Później możemy je z podziękowaniem odesłać.

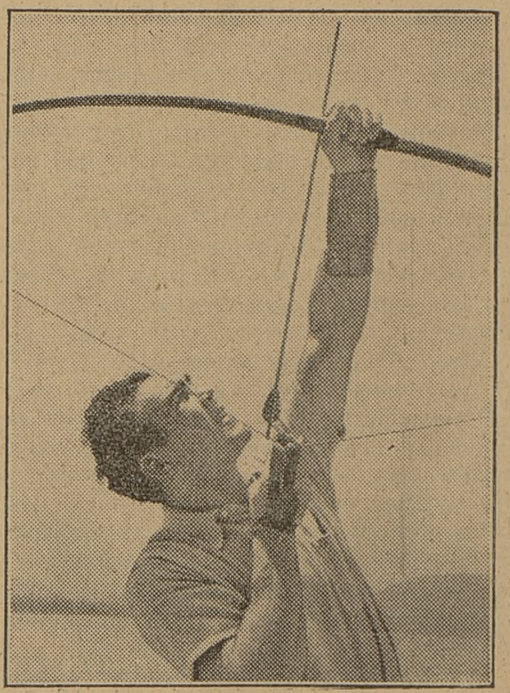
— To możemy zrobić — rzekł Wacław — proszę, niech się pani przebiera. Widzę właśnie frak. Może będzie dobry na moją figurę. Potem wyjdziemy, tak jakby mieszkanie do nas należało.

Znalazł brzytwę i namydliwszy się, zgolił wąsik, zdobiący jego górną wargę.

— Czy mogę wejść? — spytała Nora.

Odwrócił się i ujrzał swą towarzyszkę w eleganckim futrze, spod którego wyłaniała się biała, jedwabna suknia wieczorowa. Pierwszorzędne pończoszki i trzewiki dopełniały jej garderoby.

— Nie mogłam się powstrzymać i przebrałam się od stóp do głowy. A zresztą, pan też wygląda jak dżentelmen.



Słynny bokser Max Schmeling ćwiczy oko przy strzelaniu z łuku.



Radość życia

— Jak pani uważa. Lecz teraz nie możemy tracić czasu. Musimy opuścić mieszkanie.

Otworzyli drzwi i wyszli.

Wzięła go pod rękę, a on poczuł drżenie jej rączki. Przytulili się więc czule do siebie, lecz w tej chwili posterunkowy zagrodził im drogę.

— Bardzo przepraszam — lecz mam rozkaz nikogo nie wypuszczać z tego domu. Szukamy dwoje przestępców i zanim dom nie zostanie gruntownie przeszukany...

— Dobrze, proszę pana — zgodził się Wacław, czując się przegranym.

Oboje wrócili do drzwi mieszkania, a w tym czasie komisarz podszedł do nich.

— — — — — — — —

Wacław zaczął po kieszeniach szukać klucza. Kamień spadł mu z serca, gdy go na szczęście znalazł.

Skoro otworzył drzwi, komisarz zasalutował i rzekł:

— Pan wybaczy, lecz poszukujemy dwóch ludzi. Mężczyzna i kobieta. Może weszli oknem do pańskiego mieszkania i ukryli się. Czy wolno nam przeprowadzić rewizję?

— Ależ proszę bardzo — odparł Wacław. — Lecz wątpię, czy pan ich tam znajdzie. Myśmy dopiero stamtąd wyszli.

Na całe szczęście komisarz nie zrozumiał dowcipu. Przeszukali pobieżnie mieszkanie, nie znalazłszy w łóżku ukrytego ubrania męskiego i kostiumu damskiego.

— Czy jesteśmy jeszcze więźniami? — spytał Wacław.

— Na razie tak — rzekł komisarz — nikomu nie wolno opuszczać domu, aż nie znajdziemy przestępców. Muszą państwo zatrzymać się. Cała kamienica od piwnicy aż do dachu jest obstawiona. To wszystko potrwa najwyżej godzinę.

— Właśnie wybieraliśmy się na kolację. Nasza służąca ma dzień wolna, i...

— Wiem o tym — odezwał się jeden z posterunkowych. — Znam ją, lecz może ktoś z nas pójdzie dla państwa po kolację do restauracji.

— Dobra myśl — zgodził się Wacław. — Oto pieniądze.

— Zdaje mi się, że będziemy musieli tutaj pozostać — zauważył Wacław do swej towarzyszki.

Zapalił płomień w kuchence gazowej, a ona porozkładała na stole noże i widelce.

— Popatrz pan, co ja znalazłam — zawołała Nora, pokazując jakąś puszkę. — Dawno już nie jadłam homara w konserwie, a umieram z głodu. Czy to można nazwać kradzieżą?

— W ten sposób doda pani jeszcze jeden miesiąc do tych pięciu lat, które nam grożą — nadmienił Wacław. — Ale to drobnostka. Osobiście nie mam apetytu na homara. Przed godziną wychyliłem morze kawy i skonsumowałem górę placka. Niech pani zje tego homara jako pierwsze danie. Ale, cóż to jest?

Był to rozkład jazdy, a między kartki założono list. Wacław zaczął go czytać. Zaczynał się od słów: ,,Kochany Franku!, którego proszono o przyjazd na letnisko. W liście wyrażono nadzieję, że spędzą razem kilka przyjemnych tygodni.

— Ja też tak sądzę — rzekł Wacław. —. Oby nie stracono tej nadziei. Jeżeli im się nie będzie podobało, to wrócą i popsują nam szyki. W każdym razie, gdyby nawet przyjechali, to dopiero jutro może to nastąpić. Może pani wytłumaczy mi sprawę tego Rojca.

— Nie znam jej dokładnie. Pracuję tam dopiero od czternastu dni, jak już panu przedtem powiedziałam. Narysowałam mu kilka planów, a dzisiaj sporządziłam listę wierzycieli Rojca. Mam ją tutaj, przy sobie.

Posterunkowy zapukał dyskretnie do drzwi i wpuścił kelnera z tacą.

— Trzeba przyznać — rzekł Wacław po jego odejściu — że przeżywamy dzisiaj denerwujący dzień. Lepiej zostawmy naszą wykwintną garderobę na sobie. Zabawne, jakie wrażenie wywiera frak na policję.

Spożyli we dwoje miłą, niekrępującą kolację. Przyćmione światło i śnieżnobiały obrus wprawiły Wacława w pogodny nastrój:

— Mamy nawet telefon! Może pani zadzwoni do domu i powie, że się spóźni.

— Nie mam nikogo — odrzekła Nora. — Mieszkam w umeblowanym pokoju. Od trzech miesięcy nie płacę czyszu i gospodyni obiecała mnie wyrzucić, jeżeli dziś do godziny szóstej nie przyniosę pieniędzy.

Znowu zapukano do drzwi. Komisarz z posterunkowymi stanął na progu.

— Nareszcie! — pomyślał Wacław.

— Pana zapewne zainteresuje, że mimo usilnych poszukiwań nie schwytaliśmy przestępców. Bardzo przepraszamy za wszelkie nieprzyjemności.

— Nic nie szkodzi — rzekł Wacław, z trudem powstrzymując uśmiech tryumfu.

Z pokoju dał się słyszeć cichy jęk. Wacław odwrócił się i spostrzegł, że Nora, blada jak ściana, chce upaść na podłogę. Wacław szybko podbiegł i zdążył ją schwycić w pół. Oczy jej zaszły mgłą, a po chwili zamknęły się.

— Szybko po lekarza — krzyknął Wacław do jednego z posterunkowych. Potem zaniósł Norę do sypialni i ostrożnie położył na łóżko. Ręce jej były zimne jak lód i drżały, Wacław przypuszczał, że nagła wiadomość o ich niewinności tak na nią podziałała.

Po kilku minutach zjawił się lekarz i zbadał pacjentkę.

— Hm, to wygląda na zatrucie — zakonkludował.

— Co? — krzyknął Wacław. — Głupstwo!

— Nie, proszę pana — odparł lekarz — to nie głupstwo. Co ona jadła?

— Homara.

— Homar?! — rzekł lekarz z zadowoleniem, że dobrze postawił diagnozę. — Bardzo niebezpieczna potrawa. Ale my zaraz zrobimy porządek.

Po pięciu minutach przy pomocy medykamentów i odrobiny ciepłej wody usunięto przyczynę zatrucia. Panienka wyglądała jak po przebytej morskiej chorobie.

— Proszę dać tej pani szklankę herbaty i potem musi dobrze odpocząć. Jutro rano zajrzę do niej.

— Jutro rano? — rzekł Wacław. Posterunkowy stał grzecznie w głębi, czekając na dalsze rozkazy. — Ależ my musimy dzisiaj jeszcze wyjeżdżać!

— Niemożliwe, proszę pana — rzekł lekarz — pańska żona nie może dzisiaj wyjechać. Jutro zobaczymy, ale dzisiaj w każdym razie nie wolno jej opuszczać łóżka. Nie ma niebezpieczeństwa, lecz niech pan lepiej pozostanie przy niej. Proszę dać jej jutro rano dobre śniadanie. A teraz, dobranoc!

Wacław osłupiał. Kobieta... Całą noc...

— Czy mogę panu być jeszcze w czymś pomocny? — spytał posterunkowy.

— Nie — rzekł Wacław, myśląc nad tym, co mu czynić wypada.

Do domu nie mógł Nory posłać, gdyż przypuszczalnie nie miała go nawet.

Szukał w kieszeni pieniędzy, aby dać posterunkowemu napiwek, lecz zamiast tego wyciągnął kwit z przechowalni bagażu, zgubiony przez Rojca.

— Ponieważ pan dzisiaj nie wyjeżdża — rzekł posterunkowy — mogę panu przynieść walizkę. Z pewnością jest panu potrzebna.

Skoro posterunkowy odszedł, Wacław zaczął swej towarzyszce wyjaśniać całą sprawę.

— Ależ, proszę pana, tak nie można. Całą noc tutaj spędzić! Przecież ja pana wcale nie znam.

— Chociażby mnie pani znała, to sprawa pozostałaby tak samo nierozstrzygniętą — rzekł Wacław. — Lecz lekarz orzekł, że w razie gdyby pani wstała, to może



Jadwiga Piłsudska, córka Wielkiego Marszałka, zdała ostatnio egzamin pilotki lotnictwa

wywołać fatalne skutki. A z drugiej strony, kazał mi zostać i pilnować. Będę siedział obok w pokoju.

Po kwadransie posterunkowy przyniósł walizkę. Wacław siedział przy biurku i palił cygaro nieobecnego gospodarza mieszkania. Mimo woli spojrzał na przyniesioną walizkę i z ciekawością otworzył ją. I spotkała go największa niespodzianka, jaką kiedykolwiek miał w życiu!

Walizka aż po brzegi była wypełniona banknotami! Dwudziesto-, pięćdziesięcio-, stu-, tysiączłotowe banknoty!

Pierwsze promienie słońca przedarły się przez firanki, a Wacław ciągle jeszcze siedział na tym samym miejscu i myślał. Panienka widocznie dobrze spała, gdyż ani razu jej nie usłyszał.

Wacław wstał i otworzył okno. Potem udał się do kuchni, przegotował kawę i chleb z masłem. — Cicho otworzył drzwi sypialni i postawił tacę ze śniadaniem obok łóżka.

Chciał również cicho wyjść i potem zapukać głośno. Nora spała spokojnie w uroczym obramowaniu czarnych włosów. Zanim pomyślał, co czyni, pochylił się i złożył delikatny pocałunek na jej usteczkach.

Uśmiechnęła się przez sen, poruszyła się i otworzyła oczy.

Spojrzenia ich spotkały się, i on wyczytał w jej oczach to samo, co ona w jego.

Nagle zadzwonił telefon.

Wacław wziął słuchawkę.

Komisarz policji mówił:

— Pewnie pana zainteresuję ,że Rojec został schwytany.

— Rzeczywiście! — rzekł Wacław, nie wiedząc, czy wypada się dziwić, czy nie.

— Właściwie nie schwytaliśmy go w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz zmarł dzisiaj w szpitalu na skutek nieszczęśliwego wypadku. Zapewne zamierzał wyjechać, gdyż wypadek zdarzył się w pobliżu dworca.

— Mój Boże! — westchnął Wacław, któremu przypomniała się wczorajsza scena.

— „A dlaczego poszukiwała go policja?"

— Z różnych powodów. Otrzymał przez oszustwo parę patentów. Pozatem miał masę długów. Wierzyciele chcieli ogłosić jego upadłość i pewien adwokat udał się do banku, ażeby zakazać wydania mu pieniędzy, lecz Rojec już przedtem całą gotówkę podjął. Paru wierzycieli było wczoraj po południu w jego mieszkaniu, lecz on zachował się wobec nich bardzo niegrzecznie i w ogóle z nimi mówić nie chciał. Nie wiadomo, co zrobił z pieniędzmi. Przed śmiercią nic nie powiedział.

Skoro Wacław skończył, Nora w prześlicznej piżamie wyszła ze sypialni.

— Jestem głodna jak wilk — rzekła. Zejdę na dół i postaram się o coś dobrego. Mamy przecież masę pieniędzy. Pełną walizkę.

W kilku słowach wyjaśnił jej pochodzenie walizki i los Rojca.

— I co my teraz z tym zrobimy — spytała Nora.

— Policzymy wpierw, ile jest gotówki.

Okazało się, że walizka zawierała przeszło sto tysięcy złotych.

— Jego długi — rzekła Nora — wynoszą około 70.000 złotych. Tyle wiem ze spisu, który wczoraj sporządziłam. A co zrobimy z resztą?

— Damy najbliższym jego krewnym — rzekł Wacław.

— On nie miał krewnych. Sam mi mówił, że nie ma ani krewnych, ani przyjaciół.

— Jeżeli tak sprawa się przedstawia, zadecydował Wacław, to odeślemy wierzycielom ich należności, a reszta pozostaje pani własnością, jako jedynej współpracowniczki Rojca.

Nora roześmiała się.

— Moją własnością? Naszą, chciał pan powiedzieć. Przecież pan znalazł ten skarb. Podzielimy się.

— Dzielić nie będziemy. Przypadająca na nas część pozostaje w całości.

— Jak pan to sobie wyobraża?

— Kapitał pozostanie niepodzielony, tylko my się możemy połączyć. To znaczy pobrać się. Pani nie ma nikogo na świecie, ja także. A po dzisiejszej nocy...

Zarumieniła się ze szczęścia. W tej chwili zapukano do drzwi. Wacław poszedł otworzyć i ujrzał lekarza.

— Mam nadzieję, że pańskiej żonie jest już lepiej? — rzekł.

— Jest jej o połowę lepiej, niż będzie wkrótce, odparł Wacław tajemniczo.

HELENA ŁOTOCKA

Imperium kwiatów

...„Najlepszym jest taki ustrój, podczas panowania którego pług rozbłyskuje, a miecz rdzawieje, więzienia są próżne, a spichlerze pełne, lekarze i adwokaci chodzą pieszo, a ich klienci jeżdżą samochodami"... Niekiedy, ta piękna chińska maksymą zawiodła. Okazuje się, że biada temu narodowi, który pozwoli, by miecze zardzewiały...

Gdy inne narody uprawiały kult miecza, Chińczycy odgrodzeni swym murem uprawiali, skąd indziej szlachetny, kult kwiatów. Tak, Chiny są prawie klasycznym krajem kultu kwiatów. W tym ich wyższość i... niższość przed innymi narodami świata.

Najulubieńszymi kwiatami Chińczyków są piwonie, kultywowane w Chinach przeszło od 1500 lat. Są to kwiaty ulubione również przez bogów, a Chińczyk, pielęgnujący piwonie, znajduje się pod ich specjalną opieką. Piwonia jest kwiatem poniekąt symbolicznym. Młodzieniec zamiast oświadczyn ofiarowuje swej wybrance piwonie, a jeśli ona kwiat przyjmie, równoznaczne jest to z przyjęciem oświadczyn.

Drugie miejsce w „hierarchii kwiatowej" zajmują z kolei chryzantemy. Ich imieniem nazywa się dziewiąty miesiąc chińskiego roku, a dziewiąty dzień tegoż miesiąca jest poświęcony obchodowi dnia chryzantemów. Zerwane w tym dniu chryzantemy, przygotowane z sosnową smołą, podobno mają magiczną moc odmładzania. Na ich cześć jest nawet wybudowana świątynia. W Chinach nie ma dni świątecznych (niedzieli itp), jedynym świętem jest Nowy Rok, więc Chińczycy, by urozmaicić monotonię swych szarych dni, urządzają święta kwiatów, jak święto piwonii, święto chryzantemy, święto narcyza itd.

Chinka, której zbrakło kwiatów do przybrania sukni, nie uważa siebie za dobrze ubraną. (Japonki znowu uważają, że przystrajanie się w kwiaty jest... niemoralnym. Wyjątek jedynie robią dla kwiatów papierowych)...

Chińczycy są narodem sielankowym, narodem, który znajduje swe ciche radości w kultywowaniu kwiatów, w patriarchalnych tradycjach, w wewnętrznym samoudoskonaleniu się. Najwyższą cnotą Chińczyka jest umiejętność trzymania na wodzy swych zmysłów. Stąd wynikają ich małe wymagania od życia i zadowolenia z tego, co posiadają. Chiński mur — to jakby symbol ich duszy — chęć do spokojnego życia wewnętrznego. Każdy Chińczyk jest odgrodzony od świata murem... swej duszy.

Tak, Chiny są krajem kwiecistych serc i ogrodów. Sami Chińczycy są wielkimi dziećmi o wybujałej fantazji, obracającej się dokoła kwiatów, dobrych i złych duchów oraz stałego zwycięstwa dobra nad złem.

Są fatalistami bezkrytycznie wierzącymi w przeznaczenie. W ich legendach nie spotyka się wielkich wojowników, rycerzy, zdobywców. Legendy ich są naiwne i sielankowe, jak sam naród. Poniżej przytaczam jedną taką legendę — sentymentalną i naiwną, le może nie pozbawioną atutu moralnego, przy tym poniekąd symbolizującą cały ich kraj, ich obecną rzeczywistość i ich duszę...

Niestety, jeśli kwiaty zdobywają nasze serca, to miecze zdobywają cały świat!...

Lubimy kwiaty i lubimy zdobywców. Kto zwycięży?... Bo jednak w całym świecie prowadzi się obecnie wojna... kwiatów i mieczy. Historia kołem się toczy... Czyżbyśmy wrócili znów do czasów człowieka jaskiniowego, któremu przyświecał tylko łuk i oszczep?

Czyżby nieustannie obracające się koło historii wróciło tak daleko? I czyżby tak zwana, kultura współczesna uległa odwiecznym instynktom człowieka jaskiniowego — instynktom, które mimo wszystko jednak nam przyświecają...

Nie neguję nic, bo jak wiadomo — przeważnie to, co się nie dzieje, ma na celu polepszenie wszystkiego.

Poczekamy, zobaczymy...

A tymczasem posłuchajmy „czcigodnej" naiwnej i pięknej legendy o kwiatach chińskich.

OGRÓD STU KWIATÓW

O Synu Nieba, jeśli lubisz kwiaty, wiedz, że jesteś umiłowanym przez bogów, albowie bogowie powiedzieli: „jeśli masz dwa chleby, sprzedaj jeden i kup za uzyskane pieniądze kwiatów, gdyż chleb to pożywienie dla ciała, a kwiaty — to pożywienie dla duszy"...

O boskie, nade wszystko umiłowane przez bogów piwonie — kto pielęgnuje was, robi przysługę bogom!... Kochajcież, Synowie Nieba, te boskie kwiaty, a będziecie błogosławieni po wasze czasy, gdyż pielęgnowanie ogrodu piwonii jest zasługą niemniejszą w obliczu bogów, niż wybudowanie pogody...

Kwiaty dają szczęście ludziom i radość bogom. Kto służy kwiatom, ten służy bo-

gom... Tak pobożnie rozmyślając, codziennie spacerował bogobojny staruszek Cho-Czy i z zachwytem spoglądał na barwny ogród piwonii, wychodowanych jego własną ręką.

Na smukłych, dumnych łodygach majestatycznie rozkwitały niezliczoną ilością barw. Były tu białe i słodkie, jak łabędzice, purpurowe i subtelne, jak jutrzenka blado różowe, jak twarze ślicznych dziewcząt; czerwone, jak podpalone gorącą krwią rubiny; żółte, jak oczy Świętego Smoka; wonne jak kadzidła w świątyniach; zimne, a również spokojne, bez zapachu, jak chłodny, dumny marmur...

Cho-Czy wiedział, że spały w nich dusze bogiń, które nie mogąc ukazać swego prawdziwego oblicza, przemieniały się w śliczne kwiaty, by oczyma kwiatów spoglądać na życie ludzi i przynosić radość ich źrenicom i spokój i szczęście ich duszom.

A kwiaty jakby potwierdzając jego myśli w boskiej zadumie lekko kiwały ślicznymi głowami.

Tak, tak — zdawało się mówiły — poczciwy Cho-Czy będziesz błogosławiony za to, że umiłowałeś nas — bo nikomu nie robimy krzywdy. Jesteśmy na ziemi, by nieść szczęście w zmęczone dusze ludzkie... I uśmiechały się jak zaczarowane, śpiące królewny.

Były najpiękniejsze od najpiękniejszych kobiet na ziemi. Żyły, tylko nie mogły mówić ludzkim głosem. Bogowie nie dali im prawa mowy, by zbędną paplaniną nie spaczyły swego nieśmiertelnego piękna.

Och, bogowie też nie chcą mówić, wiedzą, że język jest straszniejszym od zatrutych strzał i nędzniejszym niż wycie szakali...

Czy nie więcej zginęło istnień od języka niż od mieczy?

Dlatego wybrańcy bogów wolą milczeć. Bogowie tchnęli w nich swą mądrość. Milczenie — to nauka mędrców i bogów... Język, to żądło podstępnych duchów zła.

I kwiaty milczały, promieniejąc niewysłowionym szczęściem. Były słodsze od wszystkich kobiet i Cho-Czy pielęgnował je jak najukochańsze żony. Cho-Czy wiedział, że pogrążone w mądrej zadumie kwiaty są osłodą dni ludzkich i często lubił się pogrążać w głęboką, milczącą kontemplację, z uwielbieniem patrząc na swe boskie dzieci — piwonie. Dusza jego wtedy pęczniała od cudnie boskich myśli, a że miała język na uwięzi rozumu, bogowie nie szczędzili mu natchnień, wiedząc, że nie spaczy ich głupią paplaniną.

Azali milczenie — to przywilej bogów, azali milczenie — to źródło boskich natchnień. Milczcie o Synowie Nieba, jeśli chcecie posiąść doskonałość i cnotę...

Milczenie to nauka mędrców. Z niej oni czerpią swą wiedzę. Z niego zrodził się świątobliwy, równy bogom Kon-fu-ce...

Zawsze, gdy przecudna Jutrzenka, gwoli codziennemu rozkazowi bogów przesłała płomienny pocałunek śpiącym w ogrodzie Cho-Czy kwiatom i one otwierając swe zaspane oczka jęły z rozkoszą pić święte wino rosy, które w codziennym darze bogowie nocy nalewają im w ich drogocenne kielichy, rozradowany, mądry Cho-Czy przypatrywał się temu cudownemu misterium bogów i kwiatów bogów, którzy oczarowani niewinną krasą kwiatów przeciągali z nieba purpurową dłoń, by je pieścić i z rajskich źródeł nalewali boskie nektary, przeistaczające się w przeczystą, kryształową rosę, by napoić je radością. Kwiaty z ziemi odwdzięczały się bogom swą rozkoszą, nieziemską stubarwną krasą i wonią.

Oto raz mimo ogrodu przechodził z nocnej hulanki brutal i łobuz Czang-Ej, syn znakomitego tuchana. Rozłościł go widok świeżych, wyspanych, cudnie uśmiechających się kwiatów, bo nic tak nie drażni brutali, jak piękno i jął deptać i zbijać kijem niewinne pięknookie piwonie, jakby one były jego najzaciętszymi wrogami. Nadaremnie ze łzami w oczach chciał go powstrzymać stary Cho-Czy. Brutal w dalszym ciągu uprawiał świętokradcze dzieło zniszczenia. Nie było rady, Cho-Czy musiał wziąć kija i przepędzić podłego wyrostka.

Ze łzami w oczach patrzył Cho-Czy na zbite, zmięte trupy świętych kwiatów przed chwilą jeszcze pieszczotnych ręką bogów, a teraz zdeptanych okrutnie, gdy nagle zjawiła się przed nim piękna, jak wymarzona przez bogów kwiat, dziewczyna i słodko powiedziała: „Nie płacz umiłowany przez bogów ojcze: ja ożywię drogie Twemu sercu kwiaty, idź i przynieś wody. Uradowany Cho-Czy prędko pobiegł po wodę, a gdy wrócił, dziewczyny już nie było. I o dziw — wszystkie kwiaty zmartwychwstały i radośnie uśmiechały się do niego swymi barwnymi usteczkami i wdzięcznie kiwały główkami, podobnymi do zaondulowanych przez boskie mistrza główek pięknych bogiń. I co najdziwniejsze — kwiaty zrobiły się stokroć piękniejsze, mieniąc się niezliczoną ilością teczowych barw.

Wiadomość o cudzie prędko rozeszła się po całym niebieskim Imperium. Zewsząd tłumnie przychodzili ludzie, by zobaczyć cud i nacieszyć się najpiękniejszym dla oczu tego ludu widokiem piękna boskich kwiatów...

A kwiaty jakby w zamyśleniu lekko chuśtały główkami, witając przybywających i ciesząc ich źrenice i dusze...

Ale niestety, pobity kijem podły syn znakomitego tuchana Czang-Ej zaczaił w duszy chęć zemsty. Oskarżył on bogobojnego Cho-Czy o uprawianie czarodziejstw i staruszka naturalnie wrzucili do więzienia i skazali na karę śmierci.

Gdy Cho-Czy prowadzili na stracenie, Czang-Ej z radości upił się, zebrał zgraję towarzyszy i udał się z nimi do ogrodu Cho-Czy. Tu niegodne grono rozpoczęło pijaną, brutalną masakrę niewinnych kwiatów. Nieszczęsny szaleniec widocznie zapomniał, że robiąc krzywdę kwiatom, wyzywa przeciwko sobie bogów.

I oto nagle zerwał się wiatr, podniósł łodygi zdeptanych kwiatów i one wnet obróciły się w piękne dziewczęta ubrane we wspaniałe suknie z płatków kwiatowych. Najpiękniejsza z nich, która była tą samą boginią, co już raz zjawiła się przed Cho-Czy i uratowała kwiaty, przemówiła rozgniewanym głosem: Biada wam brutale! Jesteśmy siostrami kwiatów. Przyjaciele kwiatów — są naszymi przyjaciółmi zaś ich wrogowie — są naszymi wrogami. Po tych słowach wszystkie dziewczęta rozpoczęły powiewać sukienkami i wzniecily taką burzę, że schowało się czym prędzej słońce, niebo poczerniało jak atrament i zapadła ciemna noc.

Wiatr poniósł całą zbójecką zgraję z Czang-Ejem na czele i długo kołatał nimi o drzewa, aż nareszcie ledwie żywych zrzucił na krzaczki tarniny. Ponoć tylko Czang-Eja podrzucił tak wysoko, że gdy tęn spadł na kupę śmieci, był już martwym.

(Dokończenie w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Ł A M I G Ł Ó W K A

Uł. F. Gałecki

(Czł. War. Kl. Szar.)

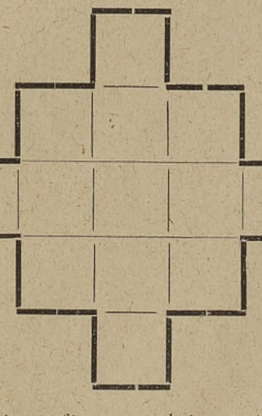


Z każdego górnego pola dołóżmy litery do dolnego tak, by otrzymać wyrazy. Litery bierzemy tak, jak występują w polach. Do ułożenia wyrazów musimy przegrupować pola, gdyż są rozrzucone wokoło. Z tych wyrazów początkowe i końcowe litery, czytane na przemian, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Tłuszcz 2. Nie ciemne. 3. Roślina. 4. Część twarzy. 5. Imię żeńskie zdrob. 6. Papiery wartościowe.

K R Y Ż Ó W K A

ułoż. Witold Mataczyński, Łysinin



W powyższą figurę należy wstawić poziomo 5 wyrazów o poniższym znaczeniu: Rzędy środkowe (poziomy i pionowy) dadzą rozwiązanie o jednym znaczeniu, tak wprzód, jak wstecz.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rodzaj głosu. 3. Statek wodny. 4. Inaczej bór. 5. Spółgłoska.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązanie zadań z nr. 24 „Moich Powieści:“ 1. Logogryf: rząd 1 i 9 — Stanisław Moniuszko. 2. Szarada: Korale.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jagodziński Wacław — Chełmno, Maś'acz Jan — Poznań, Dabrowski Teofil — Warszawa, Wiśniewska Anna — Katowice, Szymański Ludwik — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Szymańskiemu z Katowic i Wiśniewskiej z Katowic.

Radio

Niedziela, dnia 26 czerwca 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Nowy Sącz — stolica Zielonego Podhala — regionalna transmisja z Nowego Sącza 12.03 Poranek muzyczny w wykonaniu Orkiestry P. R. 13.00 „Książki mojego dzieciństwa" — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa z Nowego Sącza 15.00 Audycja dla wsi 16.30 „Zaczarowany kurant" — słuchowisko 18.00 „Podwieczorek z ogródka" — transmisja z restauracji we Lwowie 20.05 Muzyka z płyt 21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 „Don Pasquale" — opera Donizetti'ego.

Poniedziałek, dnia 27 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.20 Kamil Saint-Saens — płyty 12.03 Audycja południowa 15.15 „Jak oni to robią" — wesoła audycja dla dzieci 15.30 Skrzynka techniczna 16.00 Zespół instrumentalny Jerzego Gerta 16.45 Upiór morski z Moldefiordu — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert kameralny Transmisja z Uniwersytetu J. Piłsudskiego 19.00 Audi. żołnierska 19.30 „W stratosferze towarzyskiej" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Pieśni morskie" 22.00 Pięć wieków dawnej muzyki.

Wtorek, dnia 28 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.20 Jan Brahms: Sekstet G-Dur op. 36 — płyty 12.03 Audycja południowa 15.15 Obozowy dzień — audycja dla dzieci 16.05 Koncert rozrywkowy 16.45 Po pienińskich zakolach Dunajca — opowiadanie 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Społeczeństwo termitów — pogadanka 18.10 Obozy morskie — aud. z cyklu „Fortepian i książka" 19.00 Koncert absolwentów Konserw. Muzycznego w Wilnie 19.30 „Z Gdyni na dalekie lądy" — aud. w wyk. Orkiestry Marynarki Wojennej. W przerwie anegdoty z podróży „Dary Pomorza" 20.51 Audycja dla wsi 21.10 „Moja piękna wieś" — transmisja z Belgradu 22.00 Koncert solistów.

Środa, dnia 29 czerwca 1938 r.

7.15 Apel polskich marynarzy — transm. ze statku wojennego w Gdyni 7.30 Koncert poranny w wyk. Ork. Marynarki Wojennej 9.00 Transmisja nabożeństwa z Gdyni 11.00 „Serce Władysława IV" — felieton 11.10 „Morze tematem piosenki" — koncert z płyt 12.03 Poranek muzyczny 13.00 „Dannemora" — wyjątek z powieści 13.15 Muzyka obiadowa 15.00 „Miasto Gdynia" — słuchowisko dla dzieci 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Kapela Ludowa 18.00 „Biskup z Miry" — słuchowisko 18.30 „Na morskiej fali" — koncert rozrywkowy 20.05 Muzyka taneczna 21.10 „Chopin a polska ziemia" — II audycja 22.10 Od Gdyni do New Yorku — audycja muzyczna 22.50 Capstrzyk polskich marynarzy — transmisja ze statku wojennego w Gdyni.

Czwartek, dnia 30 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.20 Fragmenty z oper Ryszarda Wagnera — płyty 12.03 Audycja południowa 15.15 „Wielki dzień Juluka Horoszki" — opowiadanie dla dzieci 16.00 Łódzka Orkiestra Salonowa 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Jan Matejko — odczyt 18.10 Pieśni w wyk. Wandy Roessler-Stokowskiej 18.30 „Pola Elizejskie" — premiera słuchowiska 19.00 Utwory Henryka Melcera w wyk. H. Ottawowej 19.30 Wesołe miasteczko — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Neapol śpiewa — audycja muzyczno-słowna 22.00 Polska muzyka kameralna.

Piątek, dnia 1 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 W puszczy Białowieskiej — pogadanka dla dzieci starszych 16.00 Muzyka lekka 16.45 Spółdzielnie warzywnicze na Śląsku — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Duety Schuberta Franciszka na skrzypce i fortepian 19.00 Muzyka w wyk. Tria Salonowego 19.30 Wieczór operetkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Na budowie" — aud. z cyklu „Piosenki dawnych czasów" 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Sobota, dnia 2 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci „Poznali się na farbowanych lisach" 16.00 Miniatury kwartetowe — muzyka włoska 16.45 Kultura uśmiechu w Polsce — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert solistów 19.00 Recital śpiewaczy Witolda Myszkowskiego 19.30 Z pieśnią i tańcem przez Śląsk 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Aud. dla wsi 22.00 Godzina niespodzianek.

HUMOR

BRUNETKI CZY BLONDYNKI...

— Wie pan, panie Kac, ja mam wrażenie, że brunetki mają lepsze serce niż blondynki.

— Wątpię... Moja żona była już brunetką i blondynką, a mimo to jest ciągle jednakowa.

MA POMYSŁ

Pewien konduktor tramwajowy wygrał większą sumę na loterii. Jeden z dziennikarrzy zwraca się doń:

— Co pan zamierza teraz czynić?...

— Nie wiem jeszcze... — odparł konduktor.

— Ale jest pewne: — porzucam pracę konduktora tramwajowego i przez kilka tygodni będę sobie spacerował pieszo po ulicy...

W MOSKWIE

Do gabinetu Stalina na Kremlu wpada wysłannik rządu walenckiego.

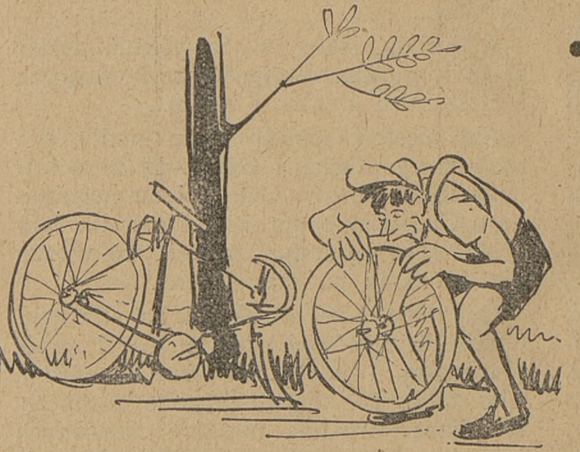
— Wszystko stracone! — woła. — Wszystko stracone!

— Jeszcze nie wszystko — odpowiada ponuro Stalin. — Jeszcze stracimy Chiny!

SKOMPLIKOWANE INKASO

— Czy powiedział ci przynajmniej, kiedy masz przyjść z rachunkiem: — pyta szef chłopca biurowego, którego wysłał daremnie po zainkasowanie należności.

— Tak jest panie szefie. Powiedział mi: doskonale, przychodź odtąd stale w każdy czwartek.



Gdy w czasie biegu „Kicha nawali", najchętniej by się ją w ten sposób naprawiło...

MARYNARZE

— Przecież wy, majtkowie to w każdym mieście macie inną narzeczoną!

— Nie wiesz takiemu gadaniu. Na przykład w Batawii nie byłem jeszcze wcale!

„LITERAT"

— Cóż tam syn pani Marcinowej porabia?

— Już od miesiąca ma zajęcie: został literatem...

— Niby co? myśli powieści układać?

— E nie, tylko w magazynie wyrobów gumowych wbija do sprzedawanych klientom kaloszy metalowe litery...

MIODOWE MIESIĄCE

— Mamo... Jak długo trwają miodowe miesiące?

— Pokąd nie poprosisz męża o pieniądze.

NA WYKŁADACH

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa Ramzes XVIII — jest postacią zmyśloną natomiast nie ulega wątpliwości, iż syn jego Ramzes XXIX żył naprawdę...

BLIŹNIACZKI

Dobroduszny starszy pan pyta dwóch małych dziewczynek:

— Jesteście bliźniaczkami?

— Nie — odpowiadają dziewczynki.

— A ile masz lat?

— Siedem.

— A ty?

— Też siedem.

— No, to jesteście bliźniaczkami.

— Nie — pada odpowiedź — jesteśmy resztą z trojaczków.

DOBRE OKREŚLENIE

Ona: Powiedz mi mój drogi, co to znaczy „geniusz finansowy"?

On: To jest taki człowiek, który prędzej zarabia, niż jego rodzina wydać potrafi.

NUMIZMATYK

— Tatusiu — pyta mały Rysio — co to jest numizmatyk?

To jest taki pan, który zbiera monety.

Następnego dnia Rysio jedzie z ojcem tramwajem. W pewnej chwili, wskazując na konduktora, inkasującego pieniądze za bilety, Rysio woła:

— Patrz, tatusiu, numizmatyk.

FIZYKA I ŻYCIE

Fizyk profesor pyta studentkę w seminarium:

— Co by pani zrobiła, gdyby znalazła się pani w południe nago na Placu Teatralnym?

Studentka zakłopotana odpowiada:

— Sądzę, że bym się bardzo wstydziła.

— Nonsens! Pani promieniowałaby ciepło.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.